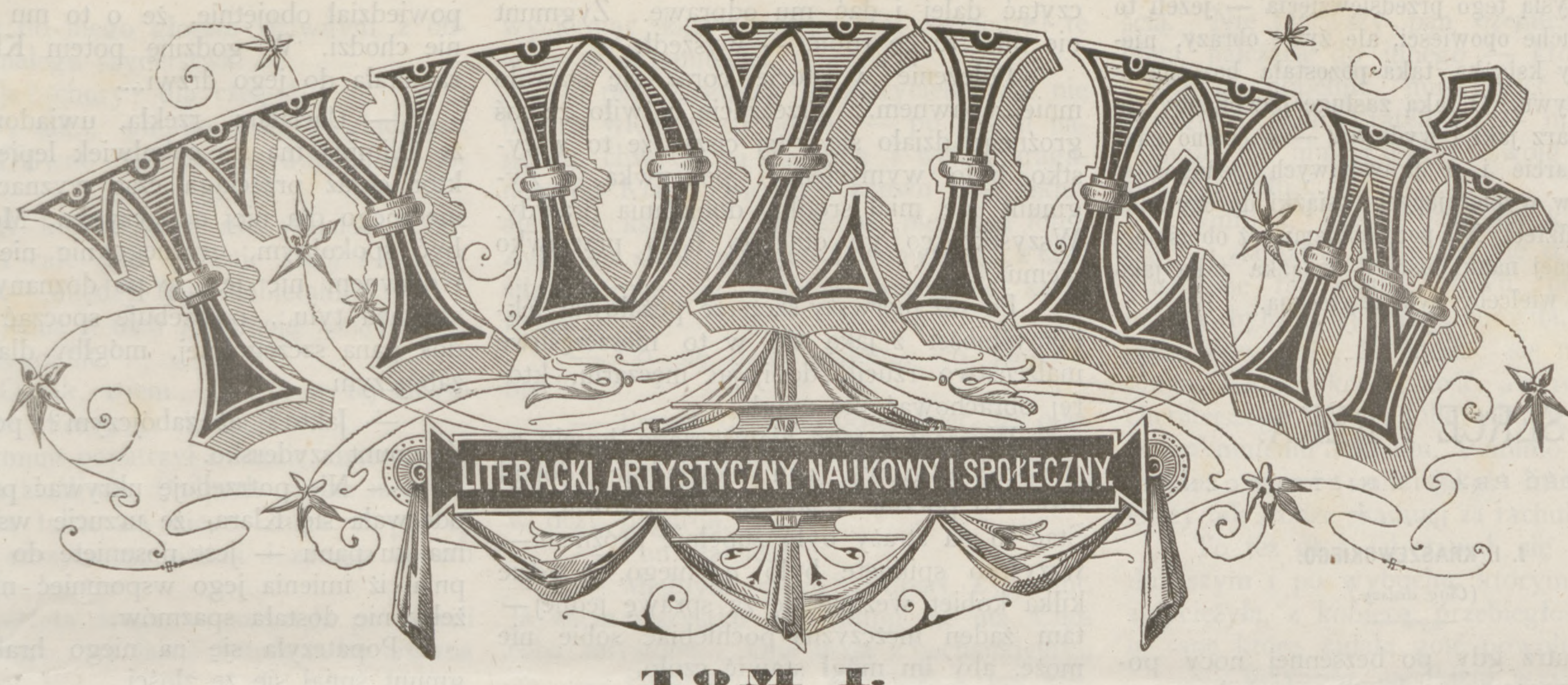
Nr. 1. Lwów, Niedziela dnia 3. stycznia 1875 r. **Rok II.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr., półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

I.

Plutarch polski.

Skarżymy się bardzo często na brak charakterów w publicznem życiu. Poziom moralności publicznej — wołamy nieraz oburzeni — spadł u nas tak nisko, że prawie pochwałą jest powiedzieć o kim, iż nic złego o nim nie wiemy. Postaci spiżowych, nieugiętych, żadnej nieprzystępnych pokusie, nie uginających karku ani przed blaskiem i władzą u góry, ani przed.... oklaskami z dołu, z każdym dniem mniej spostrzegamy. W szale pogoni za codziennym pożytkiem, wielkie cele narodu i ludzkości coraz bardziej zdajemy się tracić z oczu. Chleb powszedni — wygodne i roskoszne życie — zewnętrzny blask wielkich dostatków, najniebezpieczniejsza wreszcie z pokus: popularność, oto gwiazdy, które z widnokręgu naszego zepchnęły dawne słońce idei...

Narzekamy tak często — i zaprzeczyć się nie da, że w znacznej części słusznie. W znacznej powiadamy części. Bo jeszcze tak źle nie jest, by choroba ta już miała być powszechną, by nie było już wcale wyjątków zdrowych. Ale że się ona szerzy, że wyjątkami i to rzadkiemi są ci, którzy jej nie ulegli, że w dorastającem pokoleniu nie widzimy lepszego posiewu, to się zaprzeczyć nie da. Niebezpieczeństwo więc jest, i byłoby wielkim nierozsądkiem, gdybyśmy strusią metodą chcieli je sami przed sobą zasłaniać. Niebezpieczeństwo tem większe dla narodu będącego w tem co nasz położeniu, iż tylko własną pracą, własnem poświęceniem dźwigać się może, a nie ma żadnej narodowej władzy czy reprezentacji, któraby tę pracę w jaką organizację ująć mogła, tak iż cała nadzieja nasza i przyszłość tylko w sumie charakterów, które wydać zdołamy.

Jak niebezpieczeństwu temu zapobiedz? Nie książkę pisząc — lecz „luźne uwagi" nie możemy przedmiotu tego wyczerpać, choć nieraz jeszcze doń wrócimy. Nie masz bowiem na to jednego lekarstwa, a raczej jest ich tyle, ile jest różnych gałęzi życia narodowego, w każdej z nich bowiem znajdą się pewne strony, które wpływają na wyrobienie charakterów w narodzie. Dziś o jednej takiej — najważniejszej — stronie wspomnimy, a z tysiąca środków jakie się tu nasuwają podniesiemy znowu jeden tylko, lecz zdaniem naszem jeden ze skuteczniejszych.

Dowodzić chyba nie potrzebujemy, iż wychowanie młodego pokolenia jest głównym czynnikiem wytwarzającym w narodzie charaktery takie, jakich nam szczególniej potrzeba. Na wychowanie to składają się przeróżne czynniki: od pierwszych chwil życia rodzina, z którą później łączy się szkoła, dalej książka, sztuka plastyczna, teatr, całe wreszcie otoczenie, życie publiczne, słowem cała atmosfera umysłowa i moralna wśród której dziecko w młodzieńca a dalej w męża wyrasta. Zaczynamy się coraz skrzętniej zajmować szkołami i czuwać nad wpływem ich na wychowanie młodego pokolenia — nie zapominamy także o tem, że wpływ rodziny jest tu bardzo stanowczy, więc dzieła pedagogiczne starają się usposobić rodzinę do tego szczytnego jej zadania. Ale zapominamy nazbyt o tem, iż tak szkoła jak i rodzina muszą koniecznie używać także środka tak wielkiego wpływu na umysł młodociany, jaki wywiera książka. Mało mamy książek dla młodzieży — te, które mamy, rzadko kiedy zadaniu swemu odpowiadają, a w braku dobrych nieraz młodzież zatruwamy podawaniem jej książek bez wyboru, z których albo zdrożne czerpie zasady albo czytając je wyłącznie dla rozrywki, bez żadnego pożytku, zbyt wcześnie przywyka do „nieproźnującego proźnowania." Dalej — tak jak jedną z głównych wad dzisiejszego systemu szkolnego szczególniej u nas jest to, iż prawie wyłącznym celem szkoły jest nauczanie, a wychowanie na drugi plan zeszło — tak też głównym brakiem naszej literatury dla młodzieży jest, iż obok książek treści naukowej, zastosowanych do pojęcia młodocianych umysłów, nie masz prawie takich, któreby zamierzały wpływ wywrzeć wychowawczy, t. j. nadać kierunek charakterom.

Czem zaś najłatwiej da się brak taki zastąpić? Zapewne nie książkami moralnemi w tem znaczeniu jak zazwyczaj je pojmują — t. j. moralizującemi. Najpiękniejsze kazanie na najwznioślejszy nawet temat moralny nieraz przejdzie bez wrażenia. Książka, która tylko moralizuje, znudzi umysł młodociany. Jemu potrzeba koniecznie zająć wyobraźnię, a uwięzić ją przy przedmiotach, które pchną umysł w kierunku prawdziwej moralności. Jemu obrazów potrzeba żywych, pełnych wewnętrznego ciepła, któreby go porwały, ażeby mu się moralność nie przedstawiła tak nudną, jak bywa w sentencjonalnych książkach. Słowem: trzeba życiorysów. Nic tak nie wpływa na rozwijający się umysł i charakter, jak przykład. Patrząc ciągle na dobre przykłady w życiu rodzinnem dziecko a później młodzieniec nawyka do dobrego, tak jak złe staje mu się nawyczką i potrzebą prawie, gdy mu je codzień stawisz przed oczy. Znaczenie takiego dobrego przykładu będzie mieć dobrze napisana książka z życiorysami prawdziwie znakomitych mężów. Nie może postać takiego n. p. Washingtona, jeżeli z życiem i ciepłem skreślona, pozostać bez zbawiennego wpływu na wyrobienie charakteru czytającego. Arystydesa cnota podnieść go musi do wyżyn pojęcia moralności — poświęcenie Winkelrieda topiącego w piersi swej włócznie wrogów, by przejście zrobić dla szeregów ojczystych, musi w czytającym młodzieńcu wzbudzić żądzę poświęceń — a Rejtan kładący się u progu sejmowej sali, by zaprzeć drogę zdradzie na zgubę ojczyzny idącej, to najświetniejsza ilustracja do Horacowego „si fractus illabatur orbis..."

Dajcie młodzieży naszej nowego, polskiego Plutarcha. Nowego w tem znaczeniu, by aż do ostatnich czasów wyczerpać w nim znakomite charaktery; polskiego w tem znaczeniu, by z tych życiorysów wydobyć te myśli i zasady, któremi krzepić się powinien naród upadły. Nie ograniczać się tu ani narodowością, ani żadną epoką dziejową, ale z całej skarbnicy dziejów wydobyć wszystko cokolwiek dla naszej młodzieży dobrym być może przykładem. Jeżeli pracę taką podejmie pióro zdolne a przejęte

wzniosłą myślą tego przedsięwzięcia — jeżeli to nie będą suche opowieści, ale żywe obrazy, niepodobna, by książka taka pozostała bez znakomitego wpływu. O taką zasługę powinienby się pokusić pisarz jaki i wydawca — a pewno znalazłby poparcie i u prawdziwych pedagogów i u rodziców wybierających książki do czytania dla swych dzieci. Nie potrzebujemy też objaśniać, iż i dla samej nauki historji książka taka jako pomocnicza wielceby była użyteczną.

SERCE I REKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz gdy po bezsennej nocy poprzedniej, zasnąwszy głęboko, zbudził się pan Zygmunt nie rano i ująwszy sobie kelnera posłał go się dowiedzieć co się z paniami działo, doniesiono mu, że hrabina była w domu i już wstała, a baronowa Olimpja leżała w łóżku chora, nie przyjmowała nikogo, a nawet zapowiedzieć kazała, że do obiadu nie wstanie i jeść będzie u siebie. Po herbacie poszedł się dowiedzieć do drzwi Olimpji, skrzywiona twarz Szafrańskiej ukazała się tylko i kwaśno zapowiedziała że z panią nikt się widzieć nie może. To hermetyczne zamknięcie się, doprowadziło go do najwyższej niecierpliwości. Od drzwi żony poszedł do Klary.

Znalazł ją nad książką, bardzo spokojną i nad zwyczaj jej poważną. Popatrzała nań zdala, bez gniewu ale obojętnie.... Zygmunt pokłonił się z szyderską przesadą grzeczności.

— Czy nie raczy mi pani choć pięciominutowej wyrobić audjencji? zapytał. Rzecz oryginalna! Skazany jestem na nieoglądanie oblicza mojej żony....

— Olimpja chora, leży — rzekła Klara.

— Tem niespokojniejszy jestem.... Cóż to takiego? Możeby doktor?

— Doktor już był — nakazał kilkodniowy zupełny, absolutny spoczynek, tak dalece że mnie tam nawet nie puszczają.

— Cóż to jest?

— Nerwowego coś.

— Zatem ani sposobu widzenia się....

— Sądzę, że pan poszanujesz radę lekarza i zdrowie żony.

— Muszę... ale gdybym kilka słów napisał?

— Doktor żadnych listów oddawać nie kazał.

— Jakiż to doktor?

— Nie wiem, jak się nazywa....

— Ja tu wyborną odgrywam rolę, nawet w oczach służby hotelowej, dodał Zygmunt. Nazywam się mężem, a po trzy dni przystępu nie mam do pani baronowej....

— Ale to przecie nic tak dziwnego, rozśmiała się Klara — w wielkim świecie to najpospolitsza rzecz... Tres bon genre... Nikogo to wcale nie zadziwi!... O! oto pan być możesz spokojnym... to nie wielkopolski zaścianek....

Klara dopowiadając tych wyrazów, usiadła znowu w krześle z książką, jakby chciała czytać dalej i dać mu odprawę. Zygmunt nie miał tu co robić — wyszedł.

Położenie w istocie coraz się stawało mniej zabawnem.... Przeczucie mówiło, że coś groźnego działo się w tej ciszy, że to wszystko było wymysłem i pokrywką, a Zygmunt nie miał środka dobadania prawdy. Wszystko co go otaczało było przeciwko niemu.

Po raz pierwszy szczerze pożałował lekkomyślności z jaką się w to nieszczęśliwe małżeństwo rzucił, dobijając męczarni, której obrachować nie mógł.

Wyszedł z tego złowrogiego hotelu ze spuszczoną głową, sam niewiedząc, dokąd idzie, co pocznie i jak się ma ratować. — Stać tu na straży było zupełnie próżnem,— wszystko spiknęte było na niego, a gdzie kilka kobiet weźmie się za sprawę jednej — tam żaden mężczyzna pochlebiać sobie nie może, aby im mógł stawić czoło.

Myślał już nawet, czyby nie lepiej uznać się po prostu zwyciężonym, pożegnać panią i pojechać gdzie w świat. Ale cóżby powiedzieli rodzice jej, ojciec jego i miłość własna?

Cały dzień zszedł znowu na najniedorzeczniejszem plątaniu się po ulicach, kawiarniach i restauracjach.... Nad wieczorem spotkał go Redke, który jeszcze nic o Fratellim nie wiedział i pociągnął do pani doktorowej. Tu znowu coś przegrać było potrzeba w miłem tête à tête, gdyż major dyskretny jak tylko go wprowadził... wychodził by im nie przeszkadzać. Piękna pani napróżno starała się rozbudzić znudzonego i smutnego Zygmunta, a przynajmniej dobyć z niego tajemnicy, która by jej pomogła do opanowania człowieka.... Szczęściem p. Zygmunt był nadto doświadczonym ażeby się z czemkolwiek niepotrzebnie wygadać i dać wziąć tak naiwnemi sposoby. Tak zszedł dzień, wieczorem wchodząc do hotelu, dostrzegł prawie nieznaczny uśmieszek szyderski na twarzy odźwiernego który mu klucz oddawał i to go na nowo zburzyło. Ludzie więc obcy szydzili sobie z jego utrapionego położenia!!

Złości w jaką go to wprawiło, nic odmalować nie potrafi, trzęsąc się wszedł do swego pokoju, czuł że mu się w mózgu przewraca. Krzesło, które pochwycił, w kawałki w rękach się jego roztrzasło.

Nazajutrz rano posłał już tylko kelnera spytać u Klary o zdrowie żony, i czyby się z nią przypadkiem widzieć nie mógł? Kazano mu odpowiedzieć, że doktor zabronił najlżejszego wzruszenia. Nie poszedł już nawet do Klary.... Ta przedłużona choroba dawała mu wiele do myślenia....

W południe przyszedł wesół bardzo Redke, oznajmując że nie pięć ale osiem musiał luidorów wydać na poszukiwania, ale miał największą pewność iż wspomniany Fratelli, pomimo to co mówił o podróży, dalej jak do Szwajcarji gdzieś nie wyjechał....

Zgadzało się to z domysłami pana Zygmunta i zdało prawdopodobnem. Redke dodał, że możnaby przy użyciu właściwych środków dójść jego schronienia.

Zygmunt jednak dalej już cudzemi a niepewnemi rękoma nie chciał tych poszukiwań przeciągać, podziękował grzecznie i odpowiedział obojętnie, że o to mu wcale już nie chodzi. W godzinę potem Klara sama zapukała do jego drzwi....

— Chciałam, rzekła, uwiadomić pana że Olimpja ma się cokolwiek lepiej, ale doktor coraz przeciąga czas wyznaczony koniecznego dla niej odpoczynku. Możesz pan być spokojnym, groźnego nic nie ma, ale i dziwnem nie jest że po doznanych wzruszeniach tylu... potrzebuje spocząć i że widok pana szczególniej, mógłby dla niej być zabójczym.

— Jakto? aż zabójczym? podchwycił Zygmunt szydersko.

— Nie potrzebuję ukrywać przed nim, odezwała się Klara, że uczucie wstrętu jaki ma ku panu — jest posunięte do tego stopnia, iż imienia jego wspomnieć nie można, żeby nie dostała spazmów.

Popatrzyła się na niego hrabina. Zygmunt śmiał się ze złości.

— A jednak, rzekł — trzeba na to znaleźć środek jakiś żeby się znosić... przecież na wieki od jej oblicza odepchniętym być nie mogę.

— Mnie by się zdawało, szepnęła Klara, iż najrozumniejszym ze wszystkiego byłby jakiś układ... zapewniający panu pewne korzyści, a dający obojgu zupełną swobodę.... Nie byłoby to bezprzykładnem....

— Jeszcześmy do tego nie przyszli, oburzony rzekł Zygmunt — w parę tygodni po ślubie, zdaje mi się, że to by było zawcześnie.

— Ludzie się drugiego dnia rozchodzą! szepnęła Klara....

— Tak — ale ja i pierwszego nie miałem, odezwał się Zygmunt.

— Zdaje mi się, że tego, jak go pan zowiesz, pierwszego, nigdy się nawet spodziewać nie możesz....

— Zobaczymy, szanowna pani — kłaniając się rzekł Zygmunt, ja bywam uparty....

Klara rozśmiała się, ruszyła ramionami i odeszła.... Zygmunt usiadł pod oknem i zadumał się jak student. Był już znudzony sam sobą.

W tej chwili służąca, która potrzebowała oczyścić mieszkanie, weszła już drugi raz ze szczotką, popatrzyła na Zygmunta i niepytając go o pozwolenie, zaczęła zwolna swoją robotę.... Była to około lat trzydziestu panienka, niegdyś znać bardzo piękna, a dziś zwiędła, ale z wyrazem twarzy w którym dawna duma była jeszcze widną.

Na lekko zmarszczonem czole znać było, równie jak w zaciśniętych ustach usposobienie gniewliwe niemal i złośliwe.... Zdawała się tylko z musu i przeciw woli spełniać te obowiązki sługi niezgodne z pojęciem jakie miała o godności swojej. Badacz byłby wyczytał w tej fizjognomji całą przeszłość dramatyczną, namiętną, zakończoną jakiemś rozbiciem i wyrzuceniem na ten brzeg pusty hotelowego służebnictwa.

Kilka razy uprzątając popatrzyła na Zygmunta, ruszyła ramionami, odchrząknęła... niemogąc na siebie zwrócić jego baczności. Naostatek baron spojrzał ku niej zdziwiony nieco, że ją zobaczył.... Miał minę posępną i nie pociągającą wcale.

— Co to — czy i pan chory? ode-

zwała się do niego głosem dziwnym z odcieniem małego szyderstwa.

— Ja? chory? dla czego?

— A tak... smutno pan wyglądasz....

— Dziwno mi, żeś to waćpanna postrzegła.

— A któżby tego nie widział. Chodzisz pan całe dnie jak nie swój — przebacz mi — między temi kobietami.

— Jedna z nich jest moją żoną! przestrzegł Zygmunt.

— O tak, wiem... ale ja w tej chwili o niej nie mówię. A druga?

Zygmunt popatrzył uważnie, dziewczyna się śmiała złośliwie. Podparła się na szczotce, popatrzała także na niego długo z politowaniem, ruszyła ramionami i zaczęła znowu uprzątać.

— O! ta druga — szepnęła po chwili — ta druga... to jakaś intrygantka zręczna bardzo....

Zygmuntowi dopiero teraz na myśl przyszło skorzystać z dobrej woli do rozmowy panienki, która widocznie się z nią nastręczała. Wstał z krzesła i zbliżył się....

— Odgadłaś pono, że mi idzie o pilne śledzenie kroków tej drugiej, moja panno— rzekł cicho.... Mógłbym bardzo być wdzięczen, gdybyś mi do tego pomogła.,..

— O! czemuż nie! czemu nie, z największą chęcią — zawołała Szarlota której się oczy zaiskrzyły.... I mnie kobiety zgubiły — poprzysięgłam im zemstę, zgubią one i was, bo widzę że nie umiecie sobie poczynać z niemi....

— Wy możecie wiedzieć kto tam przychodzi — co robią.... chora moja żona?

Szarlota popatrzała znowu w oczy baronowi i ramionami ruszyła....

— Myślicie że nie chora? zapytał.

— Ale jej od dwóch dni nie ma w hotelu — szepnęła dziewczyna.... Chora?? Nigdy chorą nie była.... Jednego wieczora... ta druga przyprowadziła tu z sobą mężczyznę... zamknęły się wszystkie z .nim... nikogo nie puszczano, czaty stały....

— Ja o tem wiem, rzekł Zygmunt, i wypuszczono go drugą bramą.

— A tak... portjer opłacony... kłamie... to zły człowiek... mówiła dziewczyna. Nazajutrz wyjechały te panie... i druga nie powróciła podobno, tylko udawali, że jest w domu.... Przekupiły doktora, komedję grają... Bóg wie, gdzie ona jest....

Zygmunt zbladły stał kąsając wargi, ręce załamane trzęsły mu się.... Dziewczyna patrzała nań z politowaniem na pół, na pół z szyderstwem....

— Ale czyż to być może... czyż być może?

— Jeśli pan nie wierzysz....

Szarlota wzięła za szczotkę.... Baron dobył pieniędzy i wcisnął jej w rękę....

— Dziękuję, rzekł, nie wydam was, ale cokolwiek się stanie, miejcie oko na nich... i mówcie mi.

Dziewczyna trzymała podarek obojętnie na dłoni.

— Pan myślisz, że ja to dla pieniędzy robię? rzekła. A! nie! ja się mszczę! mnie kobiety zgubiły... ja dziś byłabym szczęśliwą... jabym była bogatą i nie tułałabym się wycierając kąty cudze... O! te jędze! te jędze w aksamitach!....

Z razu Zygmunt z odkryciem tem nie bardzo wiedział co począć — po chwili namysłu, chwycił za kapelusz i wpadł uraganem do Klary. Siedziała znowu przy oknie ale bez książki. Naprzeciw niej stał fotel, Zygmunt siadł milczący i pochwycił ją z taką siłą za rękę, że hrabina przerażona krzyknęła....

— Co się panu stało?... co pan robisz?....

— Przychodzę pani powiedzieć, żeś odegrała rolę niegodziwą, — żeś mnie oszukała, żeś podała rękę do rozpusty... i rzucić jej w oczy pogardą.

— Pan szalejesz!

— Miałbym czego? odparł Zygmunt. Ja wiem wszystko — Olimpji nie ma. Choroba zmyślona.... Ona uszła z kochankiem!...

— Pojechała, tak, pojechała z tym którego uważa za męża, bo mu ślubowała wiarę. Pan tu nie masz innej roli nad smutną i śmieszną, nie czyń siebie pośmiewiskiem ludzi, jeśli masz odrobinę rozsądku.... Olimpja pojechała z nim, i nic w świecie wstrzymać jej nie mogło... ale powróci tu i stanie oko w oko powiedzieć panu, co uczyniła.... Ona się z tem nie myśli taić. Szło jej oto tylko, ażebyś nie napadł tego człowieka i nie szukał zemsty....

— Od tej go ona nie ocali....

— Chce przynajmniej spróbować — odezwała się hrabina, powoli odzyskująca przytomność. Na zabiciu go nic pan nie zyskasz... bo Olimpja jutro zerwie małżeństwo... żyjący może się przecie ułożyć.... Słyszysz pan, ułożyć bardzo korzystnie....

— Więc sądzicie, że ja już wszystko w świecie gotowym sprzedać za pieniądze— krzyknął Zygmunt....

— Nie wrzeszczże pan! oburzyła się Klara. Ja sądzę że pan masz takt i rozum, chociaż ich w tej chwili nie widzę. Słuchaj pan — poczęła hrabina unosząc się — nie zwykłam nigdy mówić serjo. Obracam wszystko w śmiech — na ten raz gniew wywołuje ze mnie szczerą prawdę niczem nie okraszoną. Nie udawaj pan tego, kim nie jesteś. Chciałeś się ożenić z Olimpją dla jej imienia i posagu. Użyłeś do tego środków, których ja właściwie nazywać nie chcę. Przypodobałeś się matce, zyskałeś ojca, — przyjąłeś rękę daną ci z przymusu pod upokarzającemi warunkami — to wszystko daje miarę, kim jesteś i czego żądałeś. Idzie o pieniądze, dadzą ci je... okupią się... honoru nie masz do ocalenia....

Niedokończyła, bo Zygmunt pochwycił się za włosy i porwał wściekły ku niej, tak że się cofnąć musiała.

— Pani! zawołał — nadużywasz przywilejów kobiety....

— Wytrzeźw się pan i wróć do swej roli. Stworzyłeś sobie to położenie, powinieneś zrozumieć że wszystkie jego konsekwencje przyjąć musisz. Tak — czy nie?

Zygmunt zamilkł.

Widząc go zachwianym mówiła dalej szybko

— Wszystkie plany zemsty — do niczego pana nie doprowadzą, rozerwą związek, odbiorą majątek, okryją cię śmiesznością. Nie pierwszy pan ożeniłeś się z kobietą należącą do innego — kto miał odwagę to popełnić, musi mieć rezygnację dźwignąć. Zabić Fratellego — nic panu nie pomoże, z nim zabijesz swoje nadzieje... swą przyszłość.

Umilkła, baron padł na kanapę milczący i złamany. Klara prawie tryumfowała. Puszczone raz wodze słowu, powstrzymać już nie było w jej mocy, mówiła, przekonywała, dowodziła, że poddać się musiał. Zygmunt widział konieczność, ale resztka szlachetniejszego uczucia oburzała się przeciwko znikczemnieniu takiemu. Pomimo gniewu — hrabina nawet czuła jakąś litość dla tej istoty tak srodze skaranej za rachubę ohydną.

To też głos jej stawał się coraz łagodniejszym i po wybuchu którym Zygmunta zwyciężyła, z kobiecą przebiegłością zaczęła tę ranę którą zadała goić powoli i obwijać.

— Jedynym środkiem wyjścia z tego położenia — dodała w końcu — jest — rozwód, a raczej unieważnienie małżeństwa. Ono pana zrehabilityzuje, a Olimpja będzie się starała straty i zawód jego ofiarą chętną nagrodzić. Rozwód nie może nastąpić natychmiast — umówiwszy się raz oń — możesz pan swobodny czekać....

Baron milczał — po chwili nie odpowiadając nic, wstał z kanapy, pożegnał ją lekkiem skinieniem głowy — i wyszedł.... Hrabina która się spodziewała dłuższej rozmowy i jakiegoś stanowczego końca, nie umiała nawet sobie zdać sprawy ze skutków tej kłótni i spotkania, i to ją niepokoiło. Na twarzy Zygmunta gdy wychodził nic widać nie było, oprócz podrażnienia i cierpienia....

Cofnął się do swojego mieszkania i pozostał w niem przez resztę dnia.... Chwila to była w życiu jego stanowcza.... Wyrazy hrabinej przyprowadzonej do gniewu, nie osłodzone niczem, surowe, obelżywe, obrażające, uderzyły w niego ciosem śmiertelnym — ale odżywiły w nim niedobitego jeszcze szlachetniejszego coś, co na dnie duszy zostało....

Cała sromota postępowania dotychczasowego, cała gorycz następstw jego padły nań i wywołały zwrot, do jakiegoby w życiu nigdy może bez tego — zdolnym nie był. Bezsilny w obec skutków popełnionego błędu, zbolały — pierwszy raz powiedział sobie: czy mogę się dźwignąć? czy potrafię się oczyścić?....

Czuł się tak znikczemnionym, tak poniżonym, w jednej godzinie wypił tyle goryczy, przeznaczonych do sączenia się po kropli przez długie lata — że musiał umrzeć— spodlić się, lub—zapragnąć otrząsnąć z tego błota....

W obrzydzeniu samego siebie — nie miał nic na myśli tylko jedno — oczyścić się — obmyć — wyjść z kałuży.... Środki najróżniejsze przedstawiały mu się z kolei. Pierwszym warunkiem było wyrzec się korzyści materjalnych tego nieszczęśliwego małżeństwa, zwrócić aż do ostatniego grosza, oddać co miał — odtrącić coby mu ofiarowano. Lecz z czem że by pozostał on? — ojciec?... co było począć?

Zamknięty z sobą — przechodził od najdzikszych pomysłów, do dawnych planów

zemsty i walki i wracał znowu do konieczności rehabilitacji. Oburzało go pojęcie jakie hrabina miała o jego charakterze, o przedajności... rumienił się sam siebie.... Policzek jaki odebrał — poskutkował sprowadzając upamiętanie a przynajmniej pragnienie jego....

Walczył z sobą... ale postanowił kroku żadnego nie czynić i zachować się najobojętniej względem Olimpji. Ocalić jej dla siebie nie mógł; — co mu groziło — stało się spełnionym faktem: odzyskała tego któremu ślubowała... nie pozostawało nic prócz cofnięcia się.

Późno w wieczór Klara niespokojna, nie wiedząc co myśleć, sama poszła przekonać się że był u siebie, ale przez drzwi zajrzawszy, gdy spodziewała się go na nową wywabić rozmowę — otrzymała grzeczną odpowiedź — że baron trudzić ją już nie chce, a czuje się trochę nie zdrów. Tajemnicza ta odprawa nie na rękę była hrabinie....

Zygmunta śledzono — nie wyszedł ani krokiem do późna. Panu Redke który przyszedł mu oznajmić, że poszukiwania się czynią i wymagają tylko czasu, baron odpowiedział obojętnie, że to co wiedzieć potrzebował już wie, że mu dziękuje za trud jego i prosi, aby dalszych starań zaniechał. Major wziął to trochę kwaśno, za dowód nieufności, ale gdy mu się Zygmut opłacił, rozstali się przyzwoicie.... (D. c. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

S e w e r a...

V.

(Ciąg dalszy.)

Po oddaleniu się od miejsca, gdzie mój kapitan miał zajście z małym człowieczkiem, zbliżył się do nas dżentelmen, znany nam oddawna ze swoich pchnięć senegalskich. Poznałem go z kapitanem, a potem w trójkę ruszyliśmy dalej.

Wielki dom, ogromna restauracja, schadzka ajentów i interesantów z City. Tu dopiero można się przekonać, że czas to pieniądz. Dżentelmeni wbiegają kłusem, w pół minuty dostają żądaną porcję, w pięć minut zjadają, duszkiem piją piwo i uciekają. Tysiąc ludzi przesuwa się, nikt nie zabiera miejsca drugiemu, wszyscy zostawiają część swoich pieniędzy. Czas to pieniądz! Właściciel restauracji wie o tem najlepiej, to też jego biesiadnicy nie czekają ani chwili.

— My co innego, my ani klarki, ani ajenci, ani dorabiający się, my mamy prawo mieć czas, zapracowaliśmy na odpoczynek.—Tak zdecydował dżentelmen, wprowadzając nas na pierwsze piętro.

Przy butelce portwainu i ogromnych czopach (kotletach) baranich dżentelmen zapytuje się nagle:

— Co kupujecie? bo nie chcę nawet wiedzieć co sprzedajecie.

— Dla czego?—przerwałem.

— Dla czego? o naiwności! dla tego, że jeżeliś dobrze kupił to i dobrze sprzedasz.

— Nie zawsze.

— Zawsze, jeżeli możesz czekać. Nie kupuj jeżeli nie umiesz, lub nie możesz czekać; sprzedawać to drobnostka, ale kupować to podstawa handlu.

— Baj czip — kupuj tanio — dorzucił kapitan.

— Oto tajemnica rozumu narodu — baj czip — bo gdy dobrze kupisz, to i dobrze sprzedasz, czyli mówiąc jaśniej, zarobisz, a wtedy będziesz zdrów, będziesz miał szczęście i błogosławieństwo. Żaden naród nie zna tajemnicy handlu, nawet żydzi. Wszystkim idzie o sprzedaż; sprzedawać byle tylko sprzedawać, a nam idzie o kupno. Dobre kupno decyduje o sprzedaży.

— Ależ Anglicy umieją także sprzedawać — zauważył kapitan.

— Bo umieją kupować; kto od nas lepiej kupuje bawełnę, skóry, kawę, herbatę, kości, gałgany; kto lepiej od nas sprzedaje perkale? Albo tu na City, kto robi interesa?

— Rozumie się że ten, kto wie, gdzie kupić?

— Doskonale! o 20 procent a czasami o połowę taniej może kupić ten, kto wie gdzie kupić. — Dżentelmen uderza się ręką w czoło. —

— Dla czego ja nie handluję winem!

— Za to ja niem handluję — odrzekł kapitan.

— Powiedz mi ser, czy jest gdzie lepsze i tańsze wino jak w londyńskich dokach?

— Prawda.

— Kto o tem wie, prócz nas, gdy tymczasem cała Europa szuka go w Bordeaux, lub na miejscowych targach, dla tego też wino wraca ztąd znowu na te same miejsca lub do Bordeaux gdzie je sprzedają.

— Tego nie pojmuję — rzekłem.

— A jednak jest to tak proste. Francuz naprzykład w Bordeaux potrzebuje pieniędzy gwałtem, natychmiast do zapłacenia wekslu, — nie chce pożyczać na miejscu dla stu i jednej przyczyny, wysyła więc wino do Londynu, składa je w dokach, bierze kwit, zastawia go w banku za połowę wartości, otrzymanemi pieniędzmi płaci należytości i szuka kupca na swoje wino. U nas piją piwo powszechnie, wino należy do zbytku, kupca nie zawsze więc znajdzie, a chociaż chce sprzedać ze stratą, nie ma nabywcy. Jeżeli posiada pieniądze do wykupienia zastawionego w banku kwitu, wykupuje i wino napowrót odsyła do Bordeaux lub Paryża, jeżeli zaś nie ma, zostawia beczki na miejscu, a w dokach po upłynionym terminie, wystawiają je na sprzedaż przez licytację. W ten sposób wino jest u nas artykułem nadzwyczaj tanim. Doki a w nich magazyny szacunkowe, to wynalazek angielski. — Dżentelmen spojrzał na mnie przymrużając oko. — One miljony przynoszą Londynowi, Anglji, całej ludności!

— Panowie — rzekł przysuwając się do nas młody człowiek — jeśli się nie mylę, mówicie o winie w dokach... jutro licytacja na 300ta beczek. Jestem specjalnym ajentem od wina w dokach — rozdaje nam swoje karty — jutro o 10tej czekam przy bramie.

— To nie mój biznes, moim biznesem na teraz jest perkal en gros — odparł nasz dżentelmen.

Obcy skłonił się i odszedł.

Po niejakim czasie wbiega figurka, starająca się być bardzo poważną, w śmiesznie wysokim cylindrze i w śmiesznie spiczastych kołnierzykach. Figura zbliżyła się do dżentelmena.

— Przyjaciel mój — zaczyna przy artystycznem wygięciu swego korpusu — przyjaciel mój Rodryk Hupe, mówił mi, ja zaś jestem Baltazar Pikles, wielu zna Baltazara Pikles, którzy robią biznesa en gros bawełną i perkalem.... Ser, Baltazar Pikles może ci usłużyć...

— Czem możesz usłużyć mister Baltazarze Pikles? słucham.

— Wielki dom, fabryka z Manchester wyprzedaje piwną część zeszłorocznych zapasów w Londynie, wyborowe gatunki, taniej o pięć procent! korzystaj ser, wyprzedaż zaledwo od paru dni ogłoszona; jest w czem wybrać. Oto moja karta, na drugiej stronie adres domu. Usłuchaj ser Baltazara Pikles, a dobry biznes zrobisz.

— Pomyślę — odpowiada dżentelmen.

— Pójdę uprzedzić i przygotować menadżera. Ser nie zawiedzisz się na Baltazarze Pikles.

— Ufam Baltazarze Pikles.

Figurka odchodząc, usiłuje ruchami zwrócić na siebie uwagę.

— Jakby mi z nieba spadła ta żaba, właśnie szukam takiego domu — zawołał dżentelmen po odejściu figurki.

Kapitan zerwał się, spiesząc do swych zajęć, a mnie dżentelmen pociągnął z sobą do znakomitej firmy manczesterskiej fabryki.

U wejścia figurka należąca do Baltazara Pikles robiła nam honory. Dżentelmen z miną protekcjonalną traktuje klarków i menadżera. W magazynach zadziwiająca obfitość. Kupujący dowiódł znajomości rzeczy w swym zawodzie, wybierając doborowe gatunki i zręcznie choć jaskrawie dobrane kolory. Wartość kupna wynosiła 5 tysięcy funtów. Pomimo iż dżentelmen miał wyborne referensa, od własnego bankiera, chciał zapłacić gotówką wystawiając czek, lecz za to żądał dyskontu 5 od sta; menadżer dawał tylko dwa. Wszczęła się żywa dyskusja w kantorze.

— O co tu idzie? — zapytał przechodząc w tej chwili, łysy, spokojny, bladej cery, łagodnych rysów, na pół przymkniętych oczów jegomość.

— Płacę gotówką — odparł dżentelmen — kupuję odrazu za pięć tysięcy funtów, mam więc zdaje mi się prawo wymagać pięć procent eskontu.

— Ani fartynga nad dwa — odpowiedział spokojnie poważny właściciel.

— Choć płacę z góry?

— Ej ser, co mnie obchodzą pańskie pięć tysięcy funtów, czy dziś, czy za trzy miesiące.

— Gotówką! — zawołał dżentelmen.

— I my mamy troszkę gotówki i przeszło miljon funtów i nie wiedząc co z nią zrobić, trzymamy w konsolach na 2 i pół procentu.

Dżentelmen trącił mnie lekko łokciem w bok.

— Więc pan nic nie chcesz zrobić dla naszych afrykańskich kolonij?

— Ej ser, żartuję ja sobie z kolonij afrykańskich.

— Co... co?...

— Ja nie mam towaru dla kolonij afrykańskich, my nie handlujemy z kolonjami, nasz towar dla kontynentu i Indji.

— A cóż dla kolonji?

— Nic... Anglja ma już dosyć tych kolonij—i w Parlamencie oponowałem przeciw nabywaniu nowych kolonji od Holendrów.

— Ho! ho! cóż one wam zawadzają?

— Dużo kosztują a korzyści mało.

— A gdzieżto bez nich produkta swoje będziecie zbywać?

— Do pozbycia się wybiorków i odpadków nie potrzeba nowych kolonij, tak drogo opłacanych. Dwa od sta jak zwykle i ani pena więcej. — Z temi słowy spokojny fabrykant i meamber of parlament wyszedł.

— Korzystaj ser, pięć z wyprzedaży — dwa eskontu (razem siedm od sta), a taki dobry towar, szkoda go dla kolonij.

Dżentelmen w milczeniu napisał czek na pięć tysięcy funtów do swego bankiera, wręczył go menadżerowi, dodając:

— Doki Katarzyny — okręt Sardanapal — trzy dni.

— O ray ser!

Jesteśmy na ulicy; dżentelmen w wybornym humorze wycina dżiga, drepcąc nogami: na zakończenie zabija robaka, co znaczy całą stopą uderzyć w takcie w ziemię, — porywa mnie wpół i podnosi w górę. Tym sposobem robi folgę wybuchowi uczucia.

— Zaimponował mi! — woła. — Miljon w banku, handluje z kontynentem, kpi sobie z kolonij i ma rację. Anglika nie złapiesz. Alboż on uwierzył, że ja dla kolonij kupuję? — Członek parlamentu, wielki dom, zna on stosunki handlowe świata na palcach.

— Więc dla kogóż, ser, kupiłeś? — zapytałem.

— Jakto i pan do tego czasu, nic się jeszcze nie domyślasz?

— Zupełnie.

— Jeżeli się dwóch białych bije, tam zwykle trzeci korzysta. Domyślasz się, co?

— Domyślam się...

— Dla czarnych zakupiłem na licytacji i przez pokątne domki, blisko za połowę ceny; prócz tego, dwa tysiące zegarków, po trzy i pół szylinga (4 franki) sztuka.

— Muszą być dobre.

— Dla dzikich wyborne! Odpoczniemy w Bayonne'nie, zakupiony przed chwilą towar, tam wyładujemy, mamy tam nasze składy broni i prochu, a potem tędy i owędy... rozumiesz?

— Do Karlistów.

— A co się zostanie, do Madrytu i do Sewilli. Karliści płacą nadzwyczajne ceny, a republikanie zwyczajne.

— Pierwszeństwo więc należy się Karlistom.

— Nie ma o czem mówić. Zgadnij ser wiele wojna hiszpańska przyniosła już Anglji brutto?

— Nie mam pojęcia.

— A ja się założę, że do 20tu miljonów funtów, rozumie się obie strony.

— A wiele wasi katolicy posłali Don Karlosowi, obliczyłeś pan?

— A co mnie to obchodzi, gdy te pieniądze wracają do nas, protestantów. Karliści oddają je nam z procentem; a inaczej anibyśmy oglądali katolickich pieniędzy.

Dżentelmen spotyka swoich przyjaciół, zdaje się z kolonij, poznaję to po głośnych przywitaniach i dosadnych konceptach. Zostawiam go więc z dobraną drużyną, sam kierując się do pałacu Lorda Mera. (D. n.)

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia“ napisana

przez

L. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

V.

DZIENNIKARSTWO.

Zawsze pewna obawa, prawie trwoga, przejmuje konserwatystów w chwili, gdy nowa generacja przystępuje do życia czynnego. Na rok prawie przed wojną perjodyczny ten fenomen pojawił się we Francji. Rzecz dziwna: we dwadzieścia lat, mniej więcej, w kraju tym wydobywają się na wierzch nowe soki, z pośród ludu wypływa lawa i rozpościera się, paląc wszystko co znajdzie na drodze. Jeden z takich wybuchów miał miejsce w 1848 roku.

Rok 1869 stanowi ciekawą epokę. Cesarstwo, czując się zgubionem, uciekło się do eksperymentów fałszywego liberalizmu. Było to w chwili, gdy Ollivier nie utrzymał się na wyborach przeciw Barralowi; eks-komisarz republiki dostał za to miejsce ministra. Paryż na serjo brał się do wyborów. Tolerowano otwieranie się klubów pod egidą komisarzów policji i przerażano się tem, że pod pozorem wyborów sam rząd został zakwestjonowany. Wychodziły na jaw szczególne osobistości. Juliusz Vallès przedstawił się na przedmieściu St. Antoine jako kandydat nędzy. Rzecz była nowa, opozycjoniści cesarscy tracili grunt pod nogami. Uznano ich za niedołęgów. Generacja roku 1848 wygasała, generacja roku 1870 przybywała późno, ale hałaśliwie, zająć swoje miejsce na słońcu. Nastąpiło wrzenie złowrogie dla instytucji. Bohaterem dnia był Rochefort. Górował on nad Juljuszem Favrem. Rochefort został wybrany przez przedmieścia, zawsze nabawiające kłopotu w chwilach wrzenia. Pamiętano o tem, że niegdyś kilkakrotnie nachodziły one Paryż przy odgłosie bębna Henriona, lub na wezwanie rzeźnika Santerre. Tylko że w r. 1869 przedmieście St. Antoine zastąpiło pod względem reputacji Belleville.

Niektórym konserwatystom podobało się w końcu cesarstwa nazwać tych przybyszów literackimi cyganami. Ludzie ci w samej rzeczy wyszli z literatury. Jak to się zrobiło, że ci wczorajsi ulotni pisarze stali się orędownikami praw ludu? Fenomen ten łatwo wytłumaczyć. Cesarstwo od samego początku nie miało ani zaprzeczeń, ani opozycji. Dla zapobieżenia tym dwom niedogodnościom użyło ono dwojakich środków. Pozbawiło wybory wolności, tworząc kandydatury urzędowe, a dla poskromienia niezawisłości pióra zakneblowało prasę. Duch francuski, jędrność gallicka, szły swoją drogą. I wtedy to zrodziło się małe dziennikarstwo. Dziwna zaiste, ile zużywano talentu w tej małej prasie. Namiętność, z jaką dawniej brano się do obalenia ministerstwa, zwrócono teraz na zburzenie danej reputacji literackiej, lub na poparcie jakiej aktorki. Wmawiano w siebie, że zakulisowe teatralne intrygi warte tyle co intrygi polityczne. Utworzono osobne obyczaje, osobny słownik, osobną moralność. Cały sarkazm, ile go tylko posiada charakter francuski, całą jego werwę, polot, impetyczność, szalenie marnowano na opisy zbytków, gry, szczególnych miłostek i tego świata dwuznacznego, który z wielkiemi honorami wprowadzano w nową społeczność. Świat stary z uśmiechem i wyrozumiałością spogląda na ten pół-świat, odtąd zaliczony do składowych części państwa. Wielkie damy kopiowały toalety a cokolwiek także i obyczaje nowo przybyłych. Matrona z przedmieścia St. Germain bez oburzenia patrzyła jak współczesna Lais, lub Fryna zasiadały obok niej w teatrze Opery. Od tego świata, dziwnego a uroczego, wychodziło hasło mody, a moda jest właśnie tą władczynią, którą Francja narzuca Europie. Dumas syn stawił na scenie Pół-świat, a Arneziusz Houssaye pisał *Les grandes dames*.

Dziennikarstwo robiło się historjografem i powolnym sługą tej społeczności. Ztąd to wyszli owi literaci, podsłuchujący pod drzwiami, podchwytujący tajemnice, szepcący rzeczy niedyskretne, ajenci agioterstwa, ryzykownych przedsiębiorstw, aranżerowie wyścigów, które Anglicy zaprowadzili we Francji, protektorowie wyzyskiwania, Roberci Macaire'y w czarnych frakach i lakierowanych butach.

Nowy ten świat literacki pisywał do *Figara* i naśladowców jego: *Diogenesa* i *Le nain jaune*.

Nakoniec w r. 1869 nastąpiła reakcja. Niektórzy autorowie powstydzili się roli jaką kazano im odgrywać. Uczuto potrzebę wyjścia z tego odrętwienia. Przyznać także trzeba, że nadchodziły nudy, zrodzone jednostajnością, straszliwa choroba w narodzie ruchliwym. W owym czasie dość było iskry dla wzniecenia pożaru. Iskra ta była piorunem: była *Latarnią*.

Rochefort, autor tej małej broszury, był wodewilistą, potem kronikarzem w dziennikach: *Soleil*, *Evenement* i *Figaro*. Napędzony z tego ostatniego z powodu swych wystąpień cokolwiek zanadto niezależnych i niemiłych władzy, prosił o pozwolenie założenia dziennika — odmówiono mu. Pojawiły się nowe ustawy prasowe, skorzystał z nich i stworzył *Latarnię*.

Gdyby *Latarnia* powstała w każdym innym czasie, miałaby powodzenie tylko jako rzecz ciekawa; ale właśnie w chwili, gdy się ukazała, cesarstwo zużywało się, stała się więc potężną bronią dla wzruszenia go z podstaw. Mała ta czerwona książeczka była w ręku wszystkich. Adwokat Pinard, który na swe nieszczęście był podówczas ministrem spraw wewnętrznych, pierwszy doznał siły pocisków Recheforta. Potem *Latarnia* bezpośrednio zaatakowała dynastję. Rochefort, prosty kronikarz, stał się, dzięki okolicznościom, potężnym pamflecistą politycznym. Styl jego był cierpki, żywy, dość obrazowy. Argumentacji zapożyczał on z matematyki, dowodził *per absurdum*. Zdobywał się na efekta nadzwyczajne, zrewolucjonował Paryż literacki i polityczny; w końcu powodzenie przypłacił więzieniem, konfiskatą, karami pieniężnemi i wygnaniem. Dzieło swe prowadził dalej za granicą. Broszury jego przemycano do Francji. Powiedział on owoczesnym ministrom: „Skazaliście mnie na dwa lata więzienia, ja was skazuję na dziesięć lat *Latarni*.“ Rząd nie miał czasu wycierpieć całej tej kary; w rok potem wpadł w błoto Sedanu.

Popęd był nadany. Drugim pamflecistą, umiejącym czasami żywo polemizować i miewającym słowa trafne, był Ludwik Ulbach, dość mierny romansopisarz i za ciężki nieco dziennikarz. Założył on *La Cloche* i skazany został za zbyt surowy sąd o Napoleonie I. Ulbach nie miał piekielnej werwy Rocheforta, ale był uparty

i gderliwy. Następnie utonął w najgłębszem zapomnieniu.

Dla pamięci przytoczę tu jeszcze *Le Diable à quatre*, redagowanego przez A. Wolfa, A. Rance, A. Duchesne i Villemessanta. Opozycję stawił on słabo; była to spekulacja literacka.

Ale gdzie szczególnie błyszczała nowa literatura, stawszy się literaturą wojującą, to mianowicie w dziennikach powstałych mniej więcej w epoce wyborów 1869 roku.

Le Rappel od samego początku odznaczył się pewnością tonu, jakiej dotąd nie słyszano i wyższemi zaletami stylu, dzięki wyborowi swych redaktorów.

Le Rappel powstał z natchnienia Wiktora Hugo. Autor *Chatiments* był na wygnaniu; tam napisał list—przedmowę bardzo potężną, a dalszą robotę powierzył dwóm swoim synom. Do redakcji należeli Vacquerie i Paul Meurice, dwaj starzy rycerze romantyzmu, a z młodszych Laferriere, juryskonsult i Lockroy, który w szkole Rocheforta staczał podjazdowe walki z rządem. Rochefort, także wygnany, miał się przyłączyć do tej dzielnej kohorty. Z kar, jakie się posypały na dziennik, można sądzić o jego donośności. Męczeństwo we Francji, to przywilej na popularność. Im bardziej prześladowano *Le Rappel*, tem więcej był on czytany.

(C. d. n.)

FAUST.

Nowella rossyjska w dziewięciu listach

IWANA TURGENIEWA

przełożył J. Pł......

„Entbehren sollst dû, sollst entbehren."
Fausta część I.

(Ciąg dalszy).

LIST III.

(Paweł Aleksandrowicz B. do Szymona Mikołajewicza W.)

Wieś M.... 16. czerwca 1850.

Kochany przyjacielu! Byłem u Wiery, widziałem ją i przedewszystkiem muszę ci o niej powiedzieć coś w najwyższym stopniu zadziwiającego —wierz mi lub nie wierz, jak ci się podoba, ale powiadam ci, że nie zmieniła się prawie nic od czasu, gdym ją widział raz ostatni — tażsama twarzyczka i postać tażsama! Gdy wyszła na moje powitanie, zaledwie ukryć zdołałem zdumienie moje, ujrzawszy przed sobą tę samą siedmnastoletnią dziewczynkę, która z ongi czasów pozostała mi w pamięci. Tylko oczom jej brakowało owego wyrazu dziecinnego, którego nigdy zresztą nie miały, bo już za młodu patrzały na świat zbyt stanowczo i bystro, jak nigdy nie patrzą dziecka oczy. Zresztą nie odmieniła się w niczem: ten sam spokój w postawie i ruchach, ten sam głosik, to samo czoło jasne i spokojne— jak gdyby cały ten szereg lat gdzieś pod śniegiem przepędziła. A jednak liczy lat dwadzieścia ośm i matką troje dzieci... Niepojęta rzecz! Nie sądź ażebym przez sympatję dla niej przesadzał. Bynajmniej, ta skamieniała niezmienność nie podoba mi się w niej wcale. Dwudziestoośmioletnia kobieta i matka nie powinna już wyglądać jak młoda panienka. Wszak nie żyła napróżno!..

Powitała mnie nader uprzejmie, a szczególnie Prijimków był mocno uradowany mojemi odwiedzinami. Poczciwiec zdaje się istotnie czuć potrzebę zawiązania z kimś serdeczniejszych stosunków. Dom ich wygodny i dobrze utrzymany. Strój Wiery Mikołajewny był także zupełnie dziewczęcy; miała na sobie białą sukienkę z błękitną przepaską, a na szyi złoty łańcuszek. Córeczka jej bardzo milutka, lecz do niej niepodobna, więcej zbliża się podobieństwem do babki. Bardzo wierny wizerunek tej osobliwej kobiety wisi w salonie nad kanapą. Gdym wszedł do salonu wpadł mi odrazu w oczy i zdawał się wlepiać we mnie wzrok surowy i badawczy. Usiedliśmy. Poczęło się odświeżać wspomnienia dawnych lat i zwolna wywiązała się nader ożywiona rozmowa. Od czasu do czasu mimowoli rzucałem okiem na ponurą twarz pani Elzow. Wiera Mikołajewna siedziała pod samym obrazem — jest to ulubione jej miejsce. Wystaw sobie zdziwienie moje, gdym się dowiedział, że Wiera Mikołajewna, pomna przestróg matczynych, nie czytała jeszcze dotąd ani jednego romansu, ani jednego poetycznego, albo jak się wyrażała „wykomponowanego dzieła". Gniewa mnie w niej ta obojętność na najszlachetniejsze roskosze duchowe. U kobiety tak rozumnej a przytem, o ile mogłem zauważać, tak delikatnego uczucia, jest to po prostu rzecz nie do przebaczenia.

— Pani więc przyjęłaś za zasadę nigdy podobnych książek nie czytywać? — zapytałem ją.

— O nie! — odparła, ale jakoś nigdy do tego nie przyszło... nie miałam czasu.

Nie miała czasu! — Zdumiałem się... — Ale Pan, — rzekłem zwracając się do Prijimkowa— nie starałżeś się wzbudzić w żonie zamiłowania do podobnych książek?

— Chętnie byłbym to uczynił,—odparł— ale...

— Nie udawajże przecie, przerwała Wiera, sam nie jesteś wielkim miłośnikiem wierszów.

— Wierszów, to prawda,—odparł Prijimków, ale naprzykład romansów...

— Jakże państwo spędzacie wieczory? zagadnąłem ją; gracie może ze sobą w karty?

— Czasami, odparła, ale i bez tego niezbywa nam na rozrywce... czytamy wiele; oprócz poezyj są jeszcze inne pożyteczne książki.

— Cóż pani masz do zarzucenia poezjom?

— Do zarzucenia — nic! Ale od dzieciństwa nie zwracałam uwagi na dzieła wykomponowane. Życzyła sobie tego moja matka, a czem starszą byłam, tem bardziej przekonywałam się, że wszystko, co mi matka mówiła, było prawdą, świętą prawdą!

— Niezawodnie, mimo to jednak nie mogę przyznać pani słuszności. Sądzę, że nie masz pani żadnego powodu pozbawiać się tak czystych i tak usprawiedliwionych roskoszy. Nie odrzucasz pani przecież ani muzyki ani malarstwa, czemuż więc tylko poezję?

— Nie odrzucam jej wcale, nie miałam tylko dotąd sposobności zapoznania się z nią... oto cała rzecz.

— W takim razie pozwól mi pani postarać się o to. Przecież nie na wieczne czasy zakazała pani matka wdawać się z beletrystyką?

— O wcale nie! Po zamążpójściu mojem cofnęła ten zakaz. Ale mnie samej nigdy jakoś na myśl nie przyszło czytać te... jak je pan nazwałeś?... te... romanse.

W głębokiem zdumieniu przysłuchiwałem się jej. Nie, tegom się nie spodziewał! A mówiąc patrzała na mnie tak spokojnie... ptaki tak patrzą, gdy się nie lękają niczego.

— Przyniosę pani jedną książkę! zawołałem; wpadł mi nagle na myśl Faust Goethego. Wiera Mikołajewna westchnęła zlekka.

— Przecież... przecież... nie przez panią George Sand? zapytała mnie z pewnem zaniepokojeniem.

— A, więc słyszałaś pani przecie coś o niej! No, a gdyby też przez nią? Lecz nie, przyniosę pani innego pisarza. Wszak nie zapomniałaś pani jeszcze po niemiecku?

— Nie, nie zapomniałam.

— Mówi po niemiecku jak rodowita Niemka, przerwał jej Prijimkow.

— A to przedziwnie! Obaczysz pani jaką osobliwość pani przyniosę.

— Dobrze, obaczymy; a teraz chodźmy do ogrodu, moja Natasia nie wytrzyma już dłużej...

Mówiąc to, włożyła na głowę okrągły kapelusik słomiany, prawdziwie dziecinny, mało co większy od kapelusika córeczki. Szedłem obok niej. Na świeżem powietrzu, w cieniu rozłożystych lip, jeszcze milszą wydała mi się jej twarz, zwłaszcza wtedy, gdy główkę nieco w tył odchylała, wyzierając ku mnie z pod kres kapelusza. Gdyby nie Prijimkow, który szedł za nami i dziewczynka biegnąca przed nami, mogło mi się było wydawać, że to owe lato w r. 1838, że jestem dwudziestotrzyletnim studentem, co się wybiera do Berlina, a to tem bardziej, że nawet ogród, przez który przechodziliśmy, zupełnie podobnym był do ogrodu pani Elzow. Nie mogłem powstrzymać się, ażeby nie wyjawić przed Wierą tego wrażenia.

— Wszyscy mi to powiadają, żem się powierzchownie mało odmieniła, odparła mi na to; ale ja i wewnątrz pozostałam tem, czem byłam.

W tej chwili zbliżyliśmy się do chińskiego pawiloniku.

— Takiego pawilonu nie było w Ossinówce, rzekła Wiera Mikołajewna. — Nie zważaj pan na to, że z wierzchu tak opuszczono i zrujnowano wygląda, za to we środku pięknie i chłodno.

Weszliśmy do środka. Rozglądnąłem się w około.

— Wiesz pani co? — rzekłem po chwili — gdy na drugi raz przyjadę, każ pani przynieść tu stół i parę krzeseł. Istotnie tu bardzo miło... tu przeczytam pani Fausta Goethego. Nie mniej ani więcej tylko Fausta pani przywiozę.

— Dobrze — odparła na to spokojnie — tutaj nie ma much. A kiedyż pan znów do nas przyjedziesz?

— Pojutrze.

— To pięknie! — rzekła mi na to.

W tej chwili Natasia, która wraz z nami weszła do pawilonu, odskoczyła blada z okrzykiem przerażenia...

— Co ci jest? — zapytała Wiera Mikołajewna.

— Ach, mamo, mamo! — zawołało dziecię, wskazując paluszkiem w kąt pawilonu — patrz, co za okropny pająk.

Wiera Mikołajewna zwróciła oczy we wskazany kąt; po ścianie w górę biegł duży pstry pająk.

— Czemuż go się boisz? — spytała. — To zwierzątko nie zrobi ci nic złego.

I zanim ją mogłem powstrzymać, schwyciła do ręki obrzydliwy ten owad, przez chwilę pozwoliła mu pełzać po dłoni, a potem cisnęła go na ziemię.

— Jakażeś pani odważna! — zawołałem.

— Odważna, a to dla czego? Wszak to nie był jadowity pająk.

— Jak widzę, to historja naturalna zawsze jeszcze stanowi najsilniejszą stronę pani, jabym był tego owadu nie wziął do ręki.

— Nie ma go się czego obawiać — powtórzyła Wiera. Natasia popatrzyła na nas i roześmiała się.

— Jak podobne to dziecko do nieboszczki matki pani! — rzekłem.

— W istocie — odparła Wiera z uśmiechem zadowolenia — dałby Bóg, żeby nie tylko powierzchownie.

W tej chwili przywołano nas do stołu; po obiedzie pożegnałem gospodarstwo. Notabene, dla wiadomości znawcy zauważam tu, że jedzenie było dobre i smaczne. Pojutrze przywożę im Fausta. Żebym tylko ze starym Goethem nie zrobił fiaska! Opiszę ci wszystko szczegółowo.

Powiedz mi, co sądzisz o tych wszystkich zdarzeniach? Sądzisz prawdopodobnie, że wywarły na mnie zbyt wielkie wrażenie, że mógłbym się zakochać itd. Głupstwo! braciszku. Czas już, zostać rozsądnym. Dość się już napłatałem niedorzeczności i nie jestem już więcej we wieku, w którym się życie po raz drugi zaczyna. Zresztą tego rodzaju kobiety nigdy dla mnie niebezpiecznemi nie były — i jakież kobiety były dla mnie kiedy niebezpiecznemi?

Me serce zwątpiałe i chore
Wstydzi się dawnych bożyszczy...

W każdym razie cieszę się z tego sąsiedztwa, cieszę się, że będę miał sposobność widzenia często tej dobrej, łagodnej, dziecinnej kobieciny. Co dalej będzie, dowiesz się swojego czasu.

Twój *P. B.*

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nocowaliśmy w Suchedniowie, fabryce rządowej wyrobów żelaznych i broni. Przeszłej nocy wpadło tam kilkunastu kozaków, i fabrykę podpalili, o czem jeszcze w Kielcach nie wiedziano. Niespokojny to był nocleg, bośmy przymuszeni byli czuwać kolejno, obawiając się nowego napadu, gdyż oprócz spalenia fabryki kozaki mieszkańców nie zrabowali jeszcze, czego im pewnie żal być musiało. Bardzo rano wyszliśmy z Suchedniowa ku Wąchockowi. Droga szła przez lasy między górami po nad rzeczką Kamienną na której gęste fabryki żelaza pozakładane były.

Przyszedłszy do Wąchocka, musieliśmy konie popaść, oraz dowiedzieliśmy się, że przed dwoma godzinami był tam patrol moskiewski, złożony z 6 dragonów, i że takie patrole co dzień rano bywają; nie długo popasając puściliśmy się dalej do Opatowa, żeby wyjść z lasów na pola, i jeśli by się włóczyli Moskale, z daleka ich widzieć można. Przed Opatowem zboczyliśmy do wsi Mydłowa, gdzie mieszkał wuj mój Józef Horoch prezes towarzystwa kredytowego w Radomiu; zastaliśmy go w domu, przenocowali bardzo wygodnie, i cały następny dzień u niego zabawili, rozsyłając zaufanych posłańców, żeby zasięgnąć wiadomości, gdzie się obraca korpus generała Różyckiego i moskiewskie komendy. Doniesiono nam, że Ridiger stoi w Radomiu, a Różycki w okolicach Iłży, gdzie złączył się z gen. Szeptyckim, i stoczyli tam bitwę: Iłża którą Moskale opanować usiłowali, spalona przez ich granaty została, a na ulicach bili się nasi walecznie, jak niegdyś w Saragosie. W tej bitwie odznaczał się batalion legji litewsko-ruskiej dowodzony przez walecznego pułkownika Kwiatkowskiego, oraz Wołyńcy Kar. Różyckiego, którzy 3. małemi szwadronikami, w jeden szereg rozbili pułk strzelców konnych mosk., sam Różycki idąc na czele pułku, zrąbał pułkownika moskiewskiego, także na czele idącego, ale go nie mógł wziąść w niewolę, bo przemagająca siła Moskali odbiła go.

Wymaszerowawszy rano z Mydłowa zaszliśmy do Opatowa wreszcie, gdzie zastaliśmy placówkę legji litewsko-ruskiej, i oficera z oddziału Wołyńców Karola Różyckiego, Budzyńskiego; młody ten chłopak idąc z patrolem, napadnięty został przez kozaków i skłuty kilka razy, ale nie niebezpiecznie, zaleciał jeszcze na koniu do Opatowa, gdzie go doktor opatrzył, i za parę dni mógł siąść na konia, i z wracającą placówką dostał się do korpusu. Od nich dowiedzieliśmy się gdzie stoi korpus, i z nimi razem na drugi dzień zrobiliśmy jeszcze trzy mile i stanęliśmy w Grodzisku kościelnem, gdzie stał generał.

Pierwsza rzecz była zameldować się generałowi i dowiedzieć się, czy nie ma sposobu dostania się do Warszawy? odpowiedział na to generał, że w tym momencie nie ma możliwości, bo Moskale bardzo blisko nas stoją i przecinają komunikację; jakoż nawet zeszłej nocy, mieli ochotę napaść na obóz i byłoby im się to udało, gdyby nie byli wydani przez dezertera, Polaka, który jenerała o tem zawiadomił. Więc z wieczora cichaczem ściągniono obóz, zostawiwszy palące się ognie.

W samej rzeczy, po północy, kule armatnie i granaty zaczęły się sypać w miejsce gdzie stał obóz: poczem piechota z kozakami napadła, a nie zastawszy nikogo, zrejterowała się w tę stronę zkąd przyszła, bojąc się zapewne zasadzki. Generał wszystko to widział z dominującego pagórka. Noc była nadto ciemna, i deszcz padał mocny, trudno było skupić korpusik—tem bardziej że nic nie można było wiedzieć z jaką siłą Moskale tę wyprawę robili.

Generał Różycki był to typ ludzi takich, u których wyegzaltowana miłość ojczyzny, pomnożona filozofją moralno-sentymentalną Jana Jakóba Rousseau, dominowały nad hartem duszy, i jasnością pomysłów tak potrzebnych u dowódcy. Chudy, lekki, dosyć zwinny, dobry dla wszystkich bez wyjątku; nie decydujący się sam na nic ważnego, zawisły od tych co go otaczają, którzy poznawszy jego słabe strony, nadużywali wpływu jaki im się wywierać dawało; przy tem śmiały, nieustraszony w boju, ale przywiązujący się wtenczas do jednej walczącej cząstki, zapominał o reszcie korpusu; był to Kościuszko *en petit* lubił sukmankę białą, którą zamiast płaszcza nosił, wierzył w kosę, wierzył w poświęcenie ludu, i na nim budował przyszły los ojczyzny; zwolennik klubu patrjotycznego, najulubieńszemi też doradcami jego, byli członkowie tego złowrogiego towarzystwa. Łatwowierny w słuchaniu raportów szpiegów i amatorów obywateli opowiadających niestworzone rzeczy o ruchach i projektach nieprzyjaciela, o duchu panującym w kraju; był nadto przekonany, że wszyscy, tak jak on powinni być fanatykami wolności i powierzonych sobie obowiązków; nie dbał o tak potrzebną w wojsku subordynację, ani mu w głowie nie było surowe przestrzeganie bezpieczeństwa obozu, sądził, że wszyscy solidarnie o tem myśleć byli powinni.

Z tego też wypadało, że korpus w nocy nic a nic pilnowany nie był, i tylko przypisywać można było szczególnemu szczęściu i nieudolności nieprzyjaciela, żeśmy w nocy napadani i rozbici nie byli. Strach mnie ogarnął zobaczywszy takie postępowanie, zupełnie przeciwne temu jakie widziałem w korpusie Umińskiego i do któregom się przyzwyczaił, bom w niem widział bezpieczeństwo życia i powodzenia kilku tysięcy ludzi.

Po wypoczęciu trochę w tym obozie udaliśmy się do generała, żeby dostać umieszczenie. Nasamprzód przypomniałem generałowi, czy możemy mieć nadzieję dostania się do Warszawy?

— Żadnej nie ma obecnie; właśnie przybył ztamtąd emisarjusz, podoficer artylerji, Poniatowski przebrany po chłopsku, śpi teraz nieborak; przyniósł mi ważne wieści, za co jutro ujrzycie go panowie oficerem. Obracając się potem do Radzimińskiego:

— Pan kapitan komenderowałeś szwadronem w półku 11. ułanów, jutro ma przybyć z rezerwy szwadron zbiorowy, pan obejmiesz nad nim dowództwo, spodziewam się, że go w dobre ręce oddaję, wiedząc w jak walecznym pułku pan służyłeś.

Do mnie:

— Mówił mi kapitan Kaczanowski, że zna pana i jego wojskowe zdolności; Kaczanowski jest w korpusie moim jednym tylko oficerem kwatermistrzostwa, to za mało, więc pan zastępować będziesz drugiego; a jako były adjutant generała Umińskiego, którego z dawnych wojen znam i wysoko poważam, spodziewam się, że pan gorliwości swojej dasz tutaj dowody.

Skłoniłem się kontent z mego przeznaczenia i zaraz poszedłem oświadczyć Kaczanowskiemu tę decyzję generała, ażebyśmy między siebie podzielili, tę trudną w korpusie służbę.

Do porucznika Konotkiewicza rzekł generał:

— Pan byłeś przed służbą wojskową budowniczym, więc ponieważ mi nie dodano żadnego oficera inżynierów, pan takiego zastępować będzie. Mamy tu trochę saperów, z zakładu wyleczonych z ran. Pan obejmiesz nad nimi komendę i dobierzesz sobie jeszcze kilku ochotników z piechoty; narzędzia potrzebne się znajdą, które panu wydać każę, ażeby w razie potrzeby, postawić albo rozebrać mosty, wyreperować drogi itp. Generał umieściwszy już nas trzech zażył z gustem tabaki, ofiarowanej mu przez majora Garczyńskiego, starego i mocno głuchego oficera, który z synem swym bardzo młodym oficerem piechoty, przedarł się przez Galicję po wejściu tam generała Dwernickiego i wisiał przy sztabie Różyckiego.

Jeszcze nas trzech do umieszczenia zostało, t. j. kapitan Rulikowski, porucznik Chamiec i Koliński, tym dał rozkaz jenerał aby zostali się przy sztabie. Od tego czasu weszliśmy w skład korpusu, zkąd gażę, furaż i racje żywności pobierać mieliśmy i pobierali. Przez kilka dni przenosiliśmy się z korpusem z miejsca na miejsce, — dla czego? nie pamiętam; ale co dzień prawie, łączyły się z nami nowe oddziały, tak z rezerw jako też i nowej formacji. Co dzień również były małe utarczki, z oddziałami jazdy moskiewskiej, najczęściej z kozakami, których raz jazda Karola Różyckiego dopadła rabujących wieś; tak byli zajęci tą czynnością, że co się rzadko wydarzało, wzięliśmy ich 25 w niewolę. — Inną

razą Chamiec poszedłszy z patrolem tychże wołyńców, napadł na patrol dragonów Kargopolskich, tych samych, co pod Poryckiem przez Dwernickiego rozbici byli, zabrał wszystkich wraz z rotmistrzem, grafem Eribkinem, co z tym patrolem poszedł. Eribkim był młody, bardzo wykształcony człowiek, wszystkim się odrazu podobał. Parę dni zabawił w obozie, poczem dostałem rozkaz odwiezienia go do Miechowa, gdzie był zakład jeńców. Jadąc tam forszpanami, deszcz nas moczył niemiłosiernie, i błoto garnęło się za kołami; obydwa długo milczeliśmy, aż nakoniec gdy mu słota mocno już dokuczyła, tem bardziej że nie miał płaszcza, rzekł do mnie.

— „Je conçois parfaitement votre patriotisme et votre devouement pour la cause desésperée que Vous soutenez, Messieurs. Si j'etais à votre place je ferais probablement de même; mais permettez moi de faire une observation. — Si vous eussiez mis de côté tout l'argent que vous coute dejà cette idée qui ne se realisera peut - être jamais, vous auriez pu achter une patrie plus agréable“

Śmiech porwał mnie serdeczny po tej uwadze którą poniekąd dzieliłem; wyjaśniło się niebo, a w wieczór dojechaliśmy do Miechowa gdzie oddałem go w ręce pułkownika Żwana, znanego mi ze schadzek szampańskich u Dyzmańskiego, a obecnego komendanta zakładu jeńców. Przenocowawszy u pułkownika, który w najczarniejszych kolorach widział nadchodzącą katastrofę tego olbrzymiego, krwawego dramatu, nazajutrz rano wyjechałem i wróciłem do korpusu.

(C. d. n.)

Z za więziennej kraty.

Poezje więźnia stanu z r. 1846.

VII.

Jesień.

Wiatr z dalekiej północy chłodnem skrzydłem wieje,
Niebo blade, jak gdyby ołowiem zalane;
I słońce w melancholji — jeszcze się zaśmieje,
Lecz z niechęcią pogląda na chmur karawanę.

Szumna złotem, purpurą, liście malowane —
Piękne barwy! — lecz gdzie są zielone nadzieje?
Ach! one się tulają wiatrem pomiatane!...
Smutny obraz! — lecz takie są życia koleje.

I ty nie długo będziesz toczyć nurt wspaniały,
Wisło! wnet ciebie zamkną lodowe kryształy —
Graj mi światłem, falami, pókiś wolna jeszcze!

Głucho; — umilkła ptasząt świegotliwych rzesza;
Czasem tylko wron sprośnych okrzyki złowieszcze
Zwiastują mi, że zima berło wziąć pospiesza.

VIII.

Zawsze sam.

Samotnik — mam niebiosa gwiazd promiennych pełne!
Tam krążą moje myśli, tam uczucia płyną;
A choć mych trosk i cierpień sam jestem przyczyną —
Czemuż, gdy noc zapadnie, nie szczęście zupełne?

Bo z księżycem, z gwiazdami znajomość zabrałem.
Kiedy je wesół witam — oczkami mrugają.
Smutne — kiedym sam smutny, gdy śpiewam — słuchają.
Dziś je kocham — a dawniej zaledwie spojrzałem!

Samotność!... cóż po ludziach, kiedy gwiazdy świecą —
Ile gwiazd, tyle myśli rozbudza się we mnie;
Wypuszczam je i widzę, jak do gwiazd swych lecą...

I wołam: wróćcie do mnie!... lecz wołam daremnie:
Bo i myśl, jako orle, wolno bujać rada,
Wzbija się i w otchłaniach błękitu przepada!

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

ROZDZIAŁ I.

(Ciąg dalszy.)

P. Zamecki nie spodziewał się snać ataku z tej strony na swoje pesymistyczne poglądy, zamilkł bowiem z miną człowieka niezadowolonego z siebie, lub zakłopotanego. Z tej porażki przeciwnika skorzystali p. Alfred i młody poeta. Jeden i drugi jął wywodzić, że mężczyzni zajmowali zawsze i zajmują stanowisko uprzywilejowane, że są panami swoich czynności, i dźwigają też sami całe brzemię odpowiedzialności, jaka ztąd wynika. P. Zamecki, który miał więcej pociągu i talentu do satyry ucinkowej, niż do długich i gruntownych rozumowań, usiłował w tem miejscu zasłonić swój odwrót, jak gdyby szarżą lekkiej kawalerji, uwagą, że mężczyzna w istocie odgrywa najczęściej w domu taką samą rolę, jaką w państwie konstytucyjnem miewa odpowiedzialny minister. On niby to rządzi i rozkazuje, ale ponad nim stoi parlament - żona.

— Bijesz się pan własną bronią, panie Tadeuszu — odparła na to panna Helena. — Słyszałam i czytałam nieraz o ministrach w najbardziej konstytucyjnych państwach, którzy robili z parlamentu, co im się podobało.

— Minister może zagrozić dymisją, albo rozwiązać parlament, i pokierować nowemi wyborami w swoim duchu, a mąż tego nie może, bo prawo na to nie pozwala, u nas przynajmniej. Nie darmo też mówią, że najlepsze małżeństwa bywają tam, gdzie najłatwiej o rozwód, to jest, gdzie minister może wziąć dymisję, jeżeli mu parlament nie dopisuje.

— Ach, to szkaradny, pogański obyczaj! — zawołała z wielkiem namaszczeniem p. Trzecieszczakiewiczowa. — Szkoda, że pan dobrodziej nie słyszałeś, co mówił w niedzielę ksiądz Zygmunt o tych jakichś ślubach cywilnych, które mają być zaprowadzone. Okropność! Czy to być może, aby się ludzie pobierali za kontraktem, na trzy lata!

— Nie pani dobrodziejko, to być nie może. Rozwód podług prawa cywilnego łatwiejszym jest wprawdzie, niż według praw kościelnych, ale nie wynika ztąd bynajmniej, by miał być częstszym. Co do mnie, jestem przekonany, że np. pan Trzecieszczakiewicz za nic w świecie nie skorzystałby z prawa, któreby mu pozwalało wziąć dymisję....

Całe towarzystwo było niezawodnie tego samego przekonania, ale deklamatorka upuściła przypadkiem wachlarz, po który schyliło się naraz kilka osób, i przy tej sposobności musiało wydarzyć się coś zabawnego, bo nagle ogólna wesołość zapanowała w salonie. Nawet natchnione oblicze wielkiego mistrza tonów rozpromieniło się uśmiechem, co widząc jego adjutant, uśmiechnął się także, z tego samego tonu. Nim atoli wyjaśnił się powód tej wesołości, weszła pani Podwalska, wprowadzając ks. Stodolskiego i jeszcze jakiegoś młodego człowieka. Na ten widok, wszyscy powstali, a p. Trzecieszczakiewiczowa podbiegła szybko ku ks. Zygmuntowi i ucałowała pobożnie jego alabastrową, apostolską rękę. Za jej przykładem uczyniły to samo obie młode panienki, podczas gdy panna Helena przywitała obydwu gości poufałem podaniem dłoni, wyrzucając księdzu, że się spóźnił.

— Nie moja to wina, ale uczonego naszego historyka — odparł ksiądz, wskazując swojego towarzysza. — P. Kryspin zajął mię ustępami ze swojej najnowszej, znakomitej rozprawy o „fatalizmie w historji.“ Jest to nauka, z której mogliby skorzystać wiele nasi panowie demagogowie i niedowiarki różnego rodzaju. P. Kryspin wykazuje z dziejów, jak palec boży dotyka widomie kraje i dynastje, buntujące się przeciw kościołowi. Na Kazimierzu Wielkim, który obdarzał żydów swojemi względami, kończy się dom Piastów. Z Zygmuntem Augustem, który sprzyjał heretykom i nowatorom, wygasła rodzina Jagiellonów. Poczet królów elekcyjnych zamyka Stanisław August, zwolennik encyklopedystów i wolnych mularzy!

Powszechny szmer uwielbienia towarzyszył niemniej uwielbienia pełnym spojrzeniom, które zewsząd skierowały się na p. Kryspina. Ale młody ten uczony nie rzekł ani słowa i stał wyprostowany z oczyma wlepionemi w jakiś punkt w odległej przestrzeni. Salon p. Podwalskiej był za małym dla tak daleko sięgającego wzroku, a uszy obecnych nie stanowiły audytorjum dość licznego, któreby godnem było usłyszeć ostatnie słowo wielkiej, tajemniczej prawdy, drzemiącej pod tem wysokiem czołem, świadomem swojej wielkości. Wybrane duchy pozwalają mniejszym od siebie oglądać się i podziwiać z bliska, ale nie odsłaniają im się wówczas. Jak świątynia gotycka, imponują one wielkością swoją zdaleka, a zbliska, milczeniem.

Ksiądz Zygmunt mniej był milczącym, ale i on nie wchodził w kółka towarzyskie z tem światłem, którem świecił od ołtarza i z ambony. Zostawiał je w zakrystji, a w salonie nie gardził drobiazgami i fraszkami, któremi świat się zajmuje. Siadł między panienkami i bawił się ich trzpiotowatą rozmową, na wzór Tego, który pozwolił maluczkim przyjść do siebie — jakkolwiek ścisłość historyczna zniewala mię nadmienić, że w tym wypadku dwie maluczkie miały już każda po lat szesnaście do ośmnastu, podczas gdy trzecia, panna Helena Podwalska, była słuszną i okazałą brunetką uderzającej piękności, ale o dziesięć lat starszą od tamtych. Nie czyni to atoli bynajmniej ujmy mojemu porównaniu, zważywszy, iż niewiasty zawsze są dziećmi, nie odpowiedzialnemi za swoje czynności, jak to już poprzednio w tem samem towarzystwie stwierdzono. Tego samego zdania był ks. Zygmunt, i ztąd pochodziła niezawodnie wielka jego pobłażliwość dla pewnych słabych stron niewieścich. Nie ganił on n. p. nietylko modnych i wykwintnych strojów, ale owszem interesował się niemi, brał udział w rozmowie obracającej się około tego przedmiotu i odzywał się nieraz ze zdaniem i radą świadczącą o jego dobrym guście. Niemniej zajmował się muzyką i poezją, a z powodu wczorajszego koncertu znalazł mnóstwo pochlebnych rzeczy do powiedzenia wielkiemu mistrzowi, pannie Helenie, adjutantowi wielkiego mistrza, który obracał kartki z nótami i wszystkim innym uczestnikom. Był tak ożywionym, że p. Podwalska i p. Trzecieszczakiewiczowa, śledząc bacznie każdy ruch i każdy giest świątobliwego męża, pełne były zachwytu i dziękowały niebiosom, iż tak zacnemu kapłanowi tak przyjemnie płynęły chwile w ich towarzystwie.

Nadszedł nakoniec ważny moment kolacji i herbaty. Posadzono ks. Zygmunta między panią Podwalską i panią Trzecieszczakiewiczową, a p. Zameckiego między panną Heleną i jej matką. Godziwa troska o nakarmienie się chlebem po-

wszednim zaprzątnęła głównie wszystkie umysły i nikt nie pogardzał darami bożemi, ani świętobliwy kaznodzieja, ani król harmonji, ani uczony historyk, ani skowronek z „Przeglądu Codziennego.“ Najmniej zaś pogardzała niemi p. Trzecieszczakiewiczowa, która schowała nawet do torebki, nieodstępnej towarzyszki swojej, parę szczególnie smacznych kąsków dla swojego „Żolcia.“ Ksiądz Zygmunt poruszył ją do łez, dowiadując się troskliwie o zdrowie tego indywiduum. Żolcio był niestety czegoś cierpiącym, pani T. nie wzięła go z sobą z obawy, aby się nie przeziębił i posyłała po doktora Czulickiego, który mu zapisał *Kali bromatum* z malinowym sokiem. Pan Trzecieszczakiewicz miał polecenie nie odstępywać Żolcia, póki nie wróci jego małżonka.

— Czy to synek państwa Trzecieszczakiewiczów? — zapytał p. Zamecki pół głosem.

— Nie, to ich piesek — odpowiedziała panna Helena z uśmiechem, niezupełnie wolnym od złośliwego wyrazu.

Pan Zamecki spojrzał na nią okiem, w którem malowało się coś więcej, oprócz porozumienia pod względem sympatji dla Żolcia.

— A p. Trzecieszczakiewicz, zdaniem pani, należy także do tych przebrzydłych istot płci męzkiej, które stawiają swoje ja, swoją ambicję ponad wszystko, i które wymagają od kobiet ofiar i poświęcenia?

— Niezawodnie! Ambicją p. Trzecieszczakiewicza było zostać mężem p. Trzecieszczakiewiczowej, a z jej strony było to ofiarą, stać się jego żoną. Czy pan nie czujesz, jak to jest upokarzającem mieć męża, który siedzi w domu i pielęgnuje Żolcia?

— Owszem, czuję, że z całego tego towarzystwa, z panią jedną tylko moglibyśmy się rozumieć.

Długie, gorące spojrzenie z pod pięknych ciemnych rzęsów panny Heleny było odpowiedzią na to wyznanie, i to odpowiedzią tak wymowną, że zatwardziały pesymista stracił do reszty swój satyryczny grunt pod nogami. Panna Helena westchnęła.

— Boję się rozumieć pana — rzekła — chociaż czasem za wiele mi u nas tej muzyki, tej poezji, i tego nabożeństwa nawet. Życie musi mieć poważniejsze, a przedewszystkiem prawdziwsze strony.

— Ma ono je w istocie, ale powaga i prawda nie wykluczają tego, co piękne, miłe i wzniosłe. Byle wszystkiego było w miarę.

— Nie uwierzysz pan, jak mię to cieszy, że pan nie jesteś, jakby to się zdawało, bezwzględnym materjalistą! Nie prawdaż, że pan nie potępiasz tego wszystkiego, co podnosi i uszlachetnia umysł, i bez czego bylibyśmy jak bez przewodnika na pustyni?

— Nie, nie potępiam tego wcale, sądzę jedynie, że urojone ekstazy, sentymentalne kwilenia i przesadna bigoterja bynajmniej nie podnoszą i nie uszlachetniają umysłu. To co ma być pięknem i wzniosłem, musi najpierw być prawdziwem. Pani wierzę, że jesteś pobożną, że zachwyca cię muzyka i poezja — ale nie wierzę ani księżom, ani muzykantom, ani poetom.

— A dla czegoż pan mnie właśnie wierzysz?

— Bo nie widzę w pani przesady.

Znowu spotkały się ich spojrzenia, jak pierwej. Panu Tadeuszowi spotkanie to nie pomogło wcale odzyskać pozytywnej swojej przytomności umysłu i zimnej rozwagi.

— Jaka ona piękna i miła! — pomyślał.

— Jaki on brzydki i stary! — pomyślała Helena. W tej chwili wszyscy wstali od stołu i przenieśli się napowrót do salonu. Wielki mistrz tonów zasiadł do fortepianu i począł interpretować „nokturnę“ Szopena w sposób tak zachwycający, że adjutant jego w konwulsjach zachwycenia pomierzwił okropnie swoje starannie utrefione włosy, a wielki uczony Kryspin po raz pierwszy tego wieczora otworzył usta, jak gdyby miał co powiedzieć. Ale wyprostował się, spojrzał okiem przebijającem mury w mglistą dal przeszłości i przyszłości, i nie powiedział nic, zachowując swoje myśli do rozprawy o muzyce słowiańskiej, którą zamierzał pisać. Potem młoda deklamatorka na ogólne żądanie powtórzyła wczorajszy wiersz młodego poety, i zebrała huczne oklaski. Potem zaproponowano gry towarzyskie, których miłośnikiem, jako rzeczy nader niewinnych, był ksiądz Zygmunt. Grano w „kotka i w myszkę,“ i zaraz jakoś tak wypadło, że pani Podwalska była myszką, a ksiądz Stodolski kotkiem. Kotek złapał myszkę w kąciku za fortepianem, ale jej nie zadusił. Honny soit, qui mal y pense. Dalej znowu wielki historyk był myszką, a pani Trzecieszczakiewiczowa kotkiem, ale myszka patrząc za daleko przed siebie, nabiła sobie o ścianę guza na czole, a kotek przez pomyłkę zamiast tego niezgrabnego gryzonia chwycił w pół księdza Stodolskiego, który się bawił pokątnie w „pacankę“ z obydwoma młodemi panienkami, ulokowawszy się w kole między niemi. Następnie grano w ciuciubabkę, w której zawsze albo panie i panny łapały księdza Zygmunta, albo dawały się jemu łapać. Przez cały ten czas, panna Helena i pan Zamecki prowadzili z sobą rozmowę półgłosem, a p. Alfred Zgorzelski uskarżał się na ból głowy i był w kwaśnym humorze. Nakoniec, żałosne skomlenie Żolcia nie mogąc dojść do uszu p. Trzecieszczakiewiczowej, drogą sympatji duchowej dostało się do jej serca, zabrała więc torebkę z przysmakami, obydwie panienki, tudzież ks. Zygmunta i p. Kryspina i pod ich eskortą ruszyła do domu, obiecawszy poprzednio p. Podwalskiej zejść się z nią o godzinie dwunastej na cichej mszy w katedrze, i donieść, jak się ma biedny Żolcio. Mistrz tonów ze swoim adjutantem i z lirykiem Przeglądu Codziennego ruszyli drugą kolumną, do cukierni na ponczyk, podczas gdy p. Zamecki wrócił sam do hotelu, w którym stanął przybywszy ze wsi przed dwoma tygodniami.

Pamiętny ten wieczór zakończył się kilkoma scenami, które wyprzedzają poniekąd bieg tej powieści, ale opowiedziane tu być muszą gwoli zachowania porządku chronologicznego.

— Avez-vous remarqué, que ce Monsieur Zamecki fait la cour à Hélène, et que Mr. Alfred en est tout consterné? — zauważała deklamatorka do swojej towarzyszki. gdy się znalazły w domu wraz z p. Trzecieszczakiewiczową.

— Je crois bien, l'autre a trente mille florins de revenus!

— Mais Mr. Alfred est si bien!

— Bah, il est criblé de dettes — odrzekła egzekutorka Szopena na cztery ręce.

— Pourtant, je l' aimerais mieux — odparła deklamatorka.

— Taisez-vous, mes demoiselles, et allez-vous coucher! — zawołała p. Trzecieszczakiewiczowa, kładąc tym sposobem koniec dyskusji.

W cukierni, ten sam temat poruszony był przez adjutanta wielkiego mistrza, który zbadawszy oblicze tego ostatniego i wnosząc z jego wyrazu, że może przemówić, nadmienił coś o złym humorze Alfreda.

— Ma rację — odparł mistrz — ten gruby szlachcic zabierze mu pannę z przed nosa.

— Mnie się zdaje — rzekł adjutant — że nie ma powodu rozpaczać. Posag nie wielki, nie wiem czy wyniesie dwadzieścia tysięcy. Dla tego też podobnoś Alfred waha się tak długo i nie zrobił dotychczas stanowczego kroku.

— Cha cha cha! — zawołał poeta — jakto, nie zrobił stanowczego kroku? Wszak zrobili ich ponoś oboje więcej, niż to jest w zwyczaju przed ślubem! Opisałem to zdarzenie wierszem, którego oczywiście nie przeznaczam do druku.

— Powiedz go pan nam, powiedz — zawołał mistrz—którego genjalne oczy zaświeciły takim blaskiem, jak oczy gastronoma, kiedy ujrzy na stole przed sobą dwa tuziny świeżutkich ostryg i butelkę Chablis.

Poeta nie dał prosić się dwa razy, i wnet idealizm rozbijający klawisze niemniej jak idealizm składający końcówki, jęły roskoszować się obrazami nie zewszystkiem dwuznacznemi pod względem swojej wartości obyczajowej, a pod względem estetycznym przynajmniej dwuznacznemi.

O tej samej porze idealizm kościelny żegnał się u progu swojego mieszkania z idealizmem historycznym, i kończył rozpoczętą z nim rozmowę temi słowy:

— To poczciwa kobiecina, ta Podwalska, i życzę jej bardzo, aby jej się udało złowić takiego męża dla córki. Ale będzie to ponoś trudno po tej awanturze z Alfredem, o której wszyscy wiedzą. Przytem, szlachcic jest materjalistą na wskróś a panna nie ma posagu.

Historyk rzucił badawczy wzrok w przestrzeń nieskończoną i zniknął.

Nakoniec, w hotelu, p. Zamecki przeszedłszy się parę razy po pokoju z fajką w ustach, stanął przed stołem, na którym leżała fotografja. Wpatrywał się w nią długo, z coraz większem upodobaniem, i przycisnął ją do ust. Gdy ją kładł napowrót na stół, wzrok jego zawadził o źwierciadło, i ujrzał tam nie świeżą twarz, szpakowate włosy i wąsy. Zadumał się nieco i zasępił, a po chwili mruknął:

— Tfu, nie źle to mówią, że w starym piecu djabeł pali! Kto wie zresztą — dlaczegoż tak patrzyła na mnie, dlaczego tak mi się spowiadała? Muszę jutro o tem pomówić z Karolem.

Co rzekłszy, pan Tadeusz położył się do łóżka, ale nie prędko usnął. Czarne oczy z długiemi rzęsami sen mu odejmowały.

A p. Alfred? I on nie spał do rana, bo partja w resursie przeciągnęła się do późna.

(C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Ku końcowi kwietnia otworzyły się kanały pomiędzy przerzedzonemi krami i mogli spuścić czółno na wodę. Wiosłując ku zachodowi starali się dostać do lądu. Popułudniu dnia 28 kwietnia spostrzegli dym jakiegoś parowca, ale wkrótce powietrze tak się zamgliło, że go znowu stracili z oczu. Nazajutrz widzieli znowu ten sam parowiec, ale w bardzo znacznem oddaleniu. Wywiesili czarną płachtę na wiosłach, aby zwrócić na siebie

uwagę i wiosłowali z całej siły, ale daremnie. Załoga statku nie spostrzegła ich, a wieczorem znikł znowu statek, a z nim i nadzieja ocalenia. O wschodzie słońca jednak, gdy się mgła podniosła, ujrzeli się niespodziewanie zaledwie milę oddaleni od tego parostatku, którego nie spodziewali się już nigdy więcej oglądać.

Był to statek Tigress, który wkrótce ich spostrzegł i zabrał na swój pokład.

Właśnie zaczął się był ósmy miesiąc pobytu tych dziewietnaściorga ludzi na lodach. I któż mógł z większem prawem od nich mówić o szczęściu! — W ciągu całego tego czasu, wśród takiego niedostatku i tylu niebezpieczeństw, nietylko nie stracili żadnego towarzysza, lecz nikt z nich nie był nawet chory. Kap. Tyson utrzymywał wzorowy porządek, a Eskimosi niezmierną rozwijali czynność i swoją przytomnością i praktycznością ochronili niejednokrotnie swoich towarzyszów od niechybnej zguby. Oswojeni z klimatem polarnym i z podobnemi przygodami, podtrzymywali oni ducha zwątpiałych i nieraz w najstraszniejszej chwili, o chłodzie i głodzie przyspiewywali sobie tak wesoło, jakgdyby krucha ich kra była pokładem najbezpieczniejszego i najlepiej we wszystko zaopatrzonego parostatku.

Podczas kiedy część osieroconej śmiercią dowódcy ekspedycji Halla z kap. Tysonem błądziła po lodach morskich, przechodzili jej członkowie, pozostali na Polaris, także różne, mniej jednak niebezpieczne przygody.

W burzliwej nocy d. 15 paźdz., kiedy kap. Tyson z ośmnastu ludźmi pozostawiony został na krze lodu, poniosła Polaris ciężkie uszkodzenie i poczęła zaciekać. Nazajutrz rano, wyswobodziwszy się z lodów, popłynął wprawdzie Buddington na południe, ale już ku wieczorowi tegoż dnia przekonał się, że statek jest nie do użytku i wkrótce zatonąć musi. Przybył więc jaknajspieszniej do wybrzeży sundu Smitha i wysiedli wszyscy na ląd, wynosząc ze sobą cały ładunek statku. W pobliżu dawniejszego zimowego portu dra. Hayes zbudowano sobie z drzewa rozebranej Polaris dom i urządzono się na zimę. Nie było to w owych pustyniach polarnych, gdzie oprócz dzikiego zwierza żadnej żywej nie spotkasz istoty lecz w okolicy zamieszkałej przez Eskimosów, z którymi jak niegdyś Kane i Hayes, tak teraz ci podróżnicy z łatwością przyjaźne zawiązali stosunki. Łagodni ci i poczciwi mieszkańcy mroźnej północy przypominali sobie z przyjemnością dawniejszych podróżników, wypytywali się o nich z zajęciem i przy ich pomocy przeszła rozbitkom Polaris zima tak szczęśliwie i wesoło jak tylko można w podobnych okolicznościach. Dr. Bessels zwiedził port Foulke, wyszedł do wysokości 1300′ metrów na lodowiec, na który się już Hayes wspinał, i zapuścił się 6 mil w głąb kraju. Na wiosnę r. 1873 zbudowali sobie i poniewoli osadnicy strefy polarnej dwie łodzie i d. 3 czerwca puścili się niemi ku południowi. Po dwudziestodniowej uciążliwej podróży spotkali w zatoce Melovill zamknięty lodami szkocki parowiec rybacki Ravenseraig, na który zostali przyjęci. Z tego statku przenieśli się oni następnie częściami na inne statki rybackie i wysiedli w końcu na ląd we wrześniu w porcie Dundee, w cztery miesiące po przybyciu zgubionych w lodach towarzyszów do Washingtonu.*)

*) *Kap. Halls Tod u. die Mannschaft der Polaris: Aus allen Welttheilen* IV. 1874. Dr. Pechuel-Lösche: *Die Nordwestfahrtendes XIX Jahrh:* Aus allen Welttheilen V. 1874. F. o. Hellwald: *Die Polarforschungen der Gegenwart: Deutsche Rundschau* I. 1873.

Rząd stanów zjednoczonych, powziąwszy od przybyłej wcześniej z kapitanem Tysonem części załogi Polaris wiadomość o smutnym losie całej wyprawy, wyprawił niezwłocznie dwa statki, Tigress i Juniata, dla odszukania pozostałych na Polaris ludzi i przyniesienia im pomocy. Pierwszy z tych statków, któremu zawdzięczali uratowanie Tyson i jego towarzysze i który przez rząd za 60000 dolarów na ten cel nabyty został, zapuszczał się dwa razy z Disko aż po za przylądek Jork na wody sundu Smitha, i znalazł nawet zimowe leże straconych, ale dopiero wtedy, kiedy ci byli je już opuścili i zbliżali się do wybrzeży Europy.

Podczas kiedy Polaris zamknięta lodami u wschodnich wybrzeży Grenlandyi chwili wyzwolenia z więzów oczekiwała, krążyło po wschodniej jej stronie, po wodach Spitzbergen i Nowej Ziemi, kilkanaście ekspedycyj, wyekwipowanych głównie przez Szwedów.

Francuska wyprawa arktyczna, od tylu lat już zapowiadana nie przyszła i w tym roku do skutku. Lambert poległ pod murami Paryża, a spadkobierca jego Ambert nie o wiele rzecz dalej posunął, co zresztą bardzo dostatecznie tłómaczą okoliczności, w jakich Francja podówczas się znajdowała. Tymczasem Altmann, kapitan niemieckiego statku *Ewina Dorota* dotarł aż do kraju króla Karola i opłynął część jego wybrzeży. Wkrótce po nim zwiedzili tenże kraj kapitanowie norwegscy Johnsen i Nilsen. Szkocki marynarz Dawid Gray, trudniący się połowem wielorybów, krążył około wschodnich wybrzeży Grenlandji. Anglik Smith przebywał cztery miesiące na oceanie arktycznym pomiędzy Grenlandją i wyspą Jan Mayen. Tobiesen popłynął do Nowej Ziemi, a Whymper, znany z wyprawy na szczyt alpejski Matterhorn, udał się do Grenlandji korzystając z ciepłego lata, przedsiębrał wycieczki w głąb tego lądu. Ale najważniejsze ze wszystkich wypraw r. 1873 były: wielka ekspedycja szwedzka i druga wyprawa austrjacka.

Ekspedycja szwedzka z r. 1872 należy do pierwszorzędnych wypraw arktycznych, była bowiem bardzo troskliwie wyekwipowaną i miała zakreślony rozległy plan, którym było objęte zimowanie i dalekie podróże saniami po lodach. Kierownictwo naukowe tej wyprawy, od lat kilku przygotowywanej, objął profesor Nordenskjöld, prawdziwy weteran na tem polu, któremu oddał rząd szwedzki do dyspozycji parostatek pocztowy *Polhem* z załogą złożoną z 11 ludzi, a zostającą pod rozkazami kap. Palandra. Nordenskjöldowi towarzyszyli lekarz Envall, fizyk Wijkander i porucznik włoskiej marynarki Parent. Prócz tego przeznaczono jeszcze dwa statki na tę wyprawę: bryg żaglowy *Gladan*, wyładowany materjałem na dom i węglem, i parowiec *Onkel Adam*, na którego pokładzie znajdowało się 50 renów, mających służyć do pociągu i na rzeź. Zamiarem ekspedycji było zimować na wyspie Parry, jednej z siedmiu wysp na północy Syberji pod 80·5° szer., a w przyszłym lecie puścić się po lodach na saniach uprzężonych renami ku biegunowi. Ale z załogi trzech statków miało tylko 21 ludzi zimować na wyspie Parry, z pozostających zaś 43 miała część powrócić w jesieni na dwóch statkach transportowych do Europy, a część pozostać na zimę w fiordzie Lodowym na Spitzbergen, gdzie z powodu otworzonych tam kopalń fosfatu zwieziony był już w roku przeszłym budulec.

D. 8 lipca 1872 odpłynęła ekspedycja szwedzka z Gotenburga i dnia 4 sierpnia stanęła na kotwicy w Green-Harbour u ujścia Lodowego fiordu. Pobudowano domy w głębi fiordu i połączono je nawet koleją żelazną z wybrzeżem, podczas gdy tymczasem uczeni robili wycieczki w okolice i zbierali odciski roślin w formacji kredowej. Dalszej podróży do wyspy Parry stanęły jednak lody na przeszkodzie. Już d. 18 sierpnia został Gladan na pewien czas lodami zamknięty, z których wyswobodziwszy się, popłynął ze statkiem Polhem aż do północno-zachodnich wybrzezy Spitzbergen, gdzie uderzył o zatory lodowe niepodobne do przebycia. Przekonawszy się o niemożności dalszej podróży, wybrano zatokę Mossel na zimówlę i Onkel Adam wysadził swoją trzodę renów na Norsk-Oen, mając zamiar z częścią załogi powrócić do Szwecji. Ale nagle skupiły się takie masy kry u ujścia zatoki, że żaden ze statków przebić ich nie mógł i wszystkie trzy zostały zamknięte. To niespodziewane zatarasowanie lodami powrotu obu statkom transportowym i ich załogom wzbudzało obawę, czy wystarczy żywności na całą zimę, gdyż zapasy jej nie były obliczone na tyle osób, a do tego jeszcze reny, które w razie potrzeby możnaby było zabić na mięso, uciekły w głąb lądu, przez nieostrożność Lapończyków, których straży były powierzone.

Tymczasem gdy jesień minęła, a ani Gladan, ani Onkel Adam nie powracał, postanowił rząd norwegski urządzić wyprawę zimową do Spitzbergen, aby nieść pomoc niespodziewanie uwięzionym. Wyprawa ta, jakiej dotąd jeszcze nigdy nie próbowano, okazała się tem bardziej potrzebną, gdy się dowiedziano, że koło Grey-Point uwięzło w lodach jeszcze sześć norwegskich statków rybackich z 58 ludźmi, którzy mają zaledwie tyle żywności, że im do nowego roku wystarczyć może. D. 20 listopada wyruszył tedy w tym celu Rozentalowski parowiec Albert z portu Tromsö na północ. Tegoż dnia zawinął do portu Hammerfest jeden z owych uwięzionych statków rybackich, któremu powiodło się wyswobodzić z lodów, a w kilka dni przybył, jeszcze i drugi. Na tych dwóch statkach powróciło 38 ludzi: pozostali postanowili przebić się do fjordu Lodowego i szukać przytułku w zimowych barakach ekspedycji szwedzkiej.

Albert tymczasem przy sprzyjającej zrazu pogodzie posunął się aż poza 73° szer. Ku końcowi listopada zerwała się jednak gwałtowna burza, która go tak mocno uszkodziła, że musiał powracać. Ale to pierwsze niepowodzenie nie odstręczyło od nowych prób. Owszem zaraz 24 grudnia wyprawiono w tymsamym celu żaglową szalupę Isbjörn, która w początkach stycznia r. 1873 dotarła do wyspy Niedźwiedziej, ale dalej przez zbite kry lodowe przedrzeć się nie mogła. Niezrażony i tem drugiem niepowodzeniem wysłał Rosenthal d. 28 stycznia parowiec Grönland do Spitzbergen, zaopatrzony w znaczne zapasy żywności i węgla. Ale i ten statek musiał powrócić, nie dobiwszy się nawet do wyspy Niedźwiedziej. Tak więc wszystkie te trzy wyprawy, podjęte w szlachetnym celu niesienia pomocy nieszczęśliwym, a pierwsze w rocznikach podróży arktycznych, nie dopięły celu i w końcu musiano zamkniętych lodami marynarzy zostawić ich losowi, pocieszając się nadzieją, że może się im powiedzie dobić do fiordu Lodowego i przebyć

szęśliwie zimę przy pomocy szwedzkiej ekspedycji.

Nadzieja jednakże nie spełniła się! W czerwcu r. 1873 znalazł kap. Tellefsen na przylądku Thordsen 18 trupów. Byłyto zwłoki owych pozostałych marynarzy norwegskich. Równie smutny los spotkał i zasłużonego kapitana Tobiesen. Zaskoczony lodami i zmuszony zimować na Nowej ziemi uległ on wraz z synem Jakóbem skorbutowi. Zwłoki obu pogrzebano obok siebie na tej odludnej wyspie. Tymczasem Nordenskjöld przetrwał szczęśliwie zimę, straciwszy wszystkiego tylko dwóch ludzi ze swojej wyprawy, i w lipcu wybrał się w podróż saniami, aby zwiedzić mało jeszcze dotąd znany północno wschodni krawędź wyspy. Powracając do zatoki Mossel spotkali szwedzcy podróżnicy geologa Ryszarda Dr. Drasche, który w r. 1873 Spitzbergen zwiedzał. Zamiar dalszej podróży spełzł na niczem z powodu wyczerpania zapasów żywności i w lecie powróciła wyprawa do Szwecji, nie dotarłszy nawet do kraju króla Karola*)

Niepomyślne dla żeglugi po morzach arktycznych lato r. 1872, które zniewyczyło plan wyprawy szwedzkiej, zepchnęło też z zamierzonej drogi i do niespodziewanego zupełnie za prowadziło celu drugą wyprawę austrjacką, która równocześnie ze szwedzką ekspedycją wyruszyła na ocean arktyczny. (C. d, n.)

POGADANKI.

I.

Nieboszczyk, nad którego grobem dziś stoimy, zasłużył na wzmiankę pośmiertną już z tego najpierw powodu, że był szlachcicem niezmiernie dawnego rodu. Samych chrześcijańskich antenatów 1873 wstąpiło w otchłań wieczności, pogańskich zaś liczba nieskończona. Dynastja jego datuje się od tej chwili, w której na bilarze zwanym *ekliptyką*, kula ziemska otrzymawszy porządnego *falszywca* poczęła wirować i biegać w kolo bez jakiegokolwiek *karambolu*. Kto zaś tak jest urodzonym, temu należy się podług obyczajów krajowych nekrolog, chociażby od urodzenia do śmierci nic uwagi godnego nie zrobił.

Nieboszczyk w istocie nie dopuścił się takiego wykroczenia w ciągu 365 dni swojego żywota. Był on sobie rokiem na wskróś konserwatywnym, o ile występował na arenie publicznej, w życiu zaś prywatnem nie był ani lepszym, ani gorszym od swoich poprzedników. Niektórzy ganili jego młodość i objawiony w niej flegmatyczny, zimny temperament, wróżąc ztąd wiele rzeczy niedobrych. Nieboszczyk zadał kłam tym wróżbom i okazał się później gorącym i pogodnym, jak przystało. Dopiero na starość zdziecinniał nieco i nie wiedział już, co robi; postępowanie jego, począwszy od dnia 10. listopada było jednem pasmem szaleństw i wybryków dziwacznych, na które rzucamy niniejszem zasłonę pobłażliwego zapomnienia, zwłaszcza iż przed samą śmiercią opamiętał się znacznie i nastręczył nam owę sposobność odmrożenia uszu, rąk, nóg i nosów, za którą wzdychają amatorowie zimy.

Nieboszczyk zostawił syna, który dziś o godzinie 7. i minucie 58 rano po raz pierwszy ujrzał światło dzienne, przyszedłszy na świat o północy przy brzęku kielichów szampana i szklanek ponczu. Jest to już ósmy rok z kolei, który mię zastaje przy biurku kronikarskiem, czuję się przeto specjalnie uprawnionym i powołanym, polecić nowonarodzone dziecię względom szanownej publiczności. Niechaj go nikt nie wita z chmurą troski na czole, precz z czarnemi myślami, precz ze smutkiem! Jakoś to będzie. Nowy Rok zabliźni dawne rany, a gdyby nam chciał zadawać nowe, nie dajmy się! W tem cała sztuka: umieliśmy ją niegdyś, nie zapominajmy jej nigdy — a ziści się gorące życzenie, z którem witamy każdy rok nowy, czarnemi jeszcze cyframi zapisany w kalendarzu narodowym: Oby czemprędzej nastała data, którą w rocznikach oznaczą głoski złote!

Nastanie ona, nastanie, ale nie dajmy się tymczasem!

Niedajmy się temu złemu, co sroży się na nas i bije z zewnątrz, od wschodu i zachodu. Wróg to nie dzisiejszy, ale odwieczny: kolebka Polski stanęła mu zaporą, staje mu zaporą Jej trumna. On wie, że w trumnie tej leży żywe ciało, ale oszalał i gruchoce deski w swoim wściekłym gniewie: sam pogrzebaną budzi do życia. On najmniej nam wyrządzi złego.

Niedajmy się tedy głównie sobie samym. Nie dajmy się otrętwieniu, które nas zmaga, sobkowstwu, które nas rozprzęga, odstępstwu, które nas osłabia. Oprzyjmy się tym trzem wrogom wewnętrznym, w roku 1875, a po jego upływie z większą otuchą powitamy jego następcę.

Przeciw apatji, przeciw sobkostwu, przeciw odstępstwu walczymy bronią tego stulecia, prasą. Broń może być czasem źle i niezręcznie prowadzona, ale to jej nie ujmuje wartości. Nie ma też pisma tak złego, któreby nie miało tej lub owej zasługi. Kto więc kocha sprawę narodową, ten powinien popierać prasę niezawisłą bez względu na jej przewinienia, nie zaś rzucać się w objęcia organu, którego jedynym celem i zadaniem jest rozgłaszać honory spadające na odstępców, wychwalać czyny samolubów, i kołysać pogrążonych w apatji, aby się nie zbudzili.

Tydzień nie mówi tego *pro domo sua*, bo z natury swojego zadania mniej wchodzi w kollizję z takiemi organami. Chodzi nam o to jedynie, aby przy Nowym Roku wytknąć objaw trudny do uwierzenia, a jednak, niestety, prawdziwy i od pewnego czasu nader powszechny. Z niechęci ku temu lub owemu dziennikowi niezawisłemu, niektórzy czytelnicy na prowincji poczęli czerpać swoją mądrość polityczną, literacką i ekonomiczną ze źródła, które nieraz wskazałem na tem miejscu. Godziłoby się w r. 1875 zaniechać tego szkodliwego zwyczaju, bo nie poprawi on wcale pism reprezentujących różne odcienie opinji, a tylko zamiast krwi krążyć w nas będzie z czasem ów płyn, przez humorystów niemieckich zwany *die Milch frommer Denkungsart*. Nie hodujmy krowy, która takie mleko daje, bo ma ona narów bardzo niemiły: napoiwszy ludzi, bierze ich potem na rogi...

* * *

Jak każdy monarcha wstępujący na tron, daje recepcje i bale, tak każdy Nowy rok inauguruje panowanie swoje zapustami. Tegoroczne będą bardzo krótkie. Popielec przypada bowiem na 10. lutego i będziemy mieli niespełna 5 tygodni czasu na odtańczenie tego wszystkiego, cośmy zaniedbali przez Adwent i co zaniedbamy w Wielkim Poście. Wesel odbyć się musi w całej Galicji w przecięciu 1000 dziennie, jeżeli liczba ich ogólna nie ma być mniejszą niż co roku — na sam Lwów przypada kilkanaście ślubów co dnia, a ponieważ są dnie teatralne, postne itd. nawet i podczas zapust i ponieważ większa część ślubów, zwłaszcza u klas uboższych, odbywa się w sobotę, więc nieraz kościół będzie miał sposobność pobłogosławić jednego dnia około 50 par w obrębie rogatek lwowskich. Szalony popyt o drużbów i o drużki będzie nieuniknionem następstwem tego *steeple-chase* matrymonialnego, i kto wie, czy artykuł ten nie stanie się przedmiotem spekulacji. Radzę wszystkim kandydatom do stanu małżeńskiego, aby się opatrzyli zawczasu w tej mierze — zwłaszcza gdy niedawno na podstawie dat statystycznych wykazałem, jak mocno rozmnożyła się we Lwowie bezżenna płeć męzka, i jakie ztąd wyniknąć muszą skutki.

Z balami publicznemi wypadałoby także spieszyć się więcej niż zwykle — aby wszystkie nie spadły w jednym ostatnim tygodniu na nasze biedne nogi. „Pogadanki“ *Tygodnia* obejmować będą nader wyczerpującą kronikę balową, ale jeżeli wskutek złego rozkładu czasu kronikarz padnie w końcu ofiarą bezsenności i innych trudów zapustnych, to klątwa dziewięciu muz i kilku pras drukarskich spadnie na głowy nieprzezornych komitetów!

* * *

Im głębiej zastanawiam się nad wypadkami roku, który nas pożegnał, tem mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że największem i najważniejszem wydarzeniem było przecież odkrycie „porcyj“ przez hr. Stanisława Tarnowskiego i wywołane tem odkryciem pospolite ruszenie szlachty województwa ruskiego, wraz z temi cząstkami województwa bełzkiego i podolskiego, które na mocy kordonu należą do Galicji. Sprawa ta nie przebrzmiała dotychczas i walka wre dalej, stanęli bowiem niespodziewani sojusznicy po stronie autora „Teki Stańczyka.“ Pierwszy ksiądz redaktor lwowskiej edycji *Przeglądu Polskiego*, przerażony protestami i drżący o los całego stronnictwa wyjechał na harc przeciw zbuntowanemu rycerstwu na swoim ewangelicznym, żółtym osiołku. Ksiądz redaktor i osiołek jego są tego zdania, że protesta szlacheckie są dziełem obrzydliwej intrygi, że hr. Tarnowski bronić się nie powinien, bo stoi zbyt wysoko, aby go mógł dosięgnąć zarzut potwarzy, ale że powinni stanąć przy nim i zasłonić go swojemi piersiami posłowie z zachodniej Galicji. Zupełnie jak w szachach — króla bić nie wolno, nastawiają się za niego piony. Przekonanie to ugruntowało się także w rzeczy-pospolitej *babińskiej* i prezydent jej wystąpił także w obronie hr. Tarnowskiego. Miło mi donieść, że dzisiejszy następca Pszonki ma na imię Bartłomiej, i że pod względem odwagi nie ustępuje on ani Bartkom z Dobrzynia, ani też owemu Bartkowi z Tuczęp, który tak dzielnie stanął po stronie swojego ojca, kiedy go spotkał despekt w karczmie.

Ojciec tego Bartka spotkał się był w lokalu propinacyjnym z kilkoma „protestami“ ze strony jakiegoś zawadjaki, którego przezwał był niesłusznie „żydem.“ Ponieważ w Tuczępach nie ma drukarni, więc protesta przybrały trywialną, ale dobitną formę policzków. Bartek, gdy się dowiedział o tem, wziął ojca za rękę i poszedł z nim na miejsce jego porażki, gdzie ów zawadjaka grasował jeszcze ciągle, podpierając się pod boki.

— Ty śmiałeś uderzyć mojego ojca., rzekł Bartek, a-no, spróbuj i uderz mnie!

*) Dr. Delitsch, *Die geograph. Forschungen des. J.* 1872. *Aus allen Welttheilen* IV. 1873. F. Hellwald. *Die Polarforschung der Gegenwart. Deutsche Rundschau* I. 1874.

Zawadjaka nie dał się prosić dwa razy, ale owszem, wystąpił natychmiast z poprawną edycją swoich protestów. Bartek chwycił się za policzek, ale nastawił drugi i zawołał rezolutnie:

— Spróbuj-no jeszcze raz!

Przeciwnik spróbował, i udało mu się wybornie.

— Nie ma co robić, ojcze, rzekł Bartek — chodźmy do domu!

I poszli.

Pan Bartłomiej z Babina czeka atoli dotychczas daremnie, czy kto nie spróbuje wystąpić z protestem przeciw niemu. Podobnoś nikt nie spróbuje, bo już dawno hr. Andrassy powiedział, że z armatami nie chodzi się na wróble.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

(Mikołaj Rej z Nagłowic, przez Bronisława Zawadzkiego. Lwów 1875.)

Dowodzić potrzeby i użyteczności monografij historyczno-literackich znaczyłoby to samo, co oświetlać słońce płomykiem gazowym. Smieszną zarówno rzeczą byłoby wykazywać, że Rej jest godnym, aby się nim w osobnej książce zajmowano. Dla tego nie chcąc nużyć czytelnika bezpotrzebnemi ekskursjami wchodzimy od razu *in medias res*. Praca pana Zawadzkiego nie zbyt obszerna (92 stronic druku) rozpada się na cztery rozdziały. Oto ich tytuły: I. Czas Reja. II. Żywot Reja. III. Pisma Reja. IV. Pogląd krytyczny. Dla łatwiejszego przeglądu mówić będziemy o pojedyńczych rozdziałach, w porządku ułożonym przez autora.

Bez wątpienia bardzo ważną rzeczą dla ocenienie pisarza jest znajomość wieku, w którym żył i pisał. P. Z. uznając tego potrzebę poświęcił czwartą część swego dziełka skreśleniu epoki obywatelskiej i piśmienniczej działalności Reja, a więc pierwszej połowy 16 wieku. Zadanie miał wcale nietrudne, wyznać jednak musimy, że nie wywiązał się z niego należycie. Ażeby dać poznać czytelnikowi „Czas Reja“ (tak bowiem p Z, pierwszy rozdział swej pracy zatytułował) należało przedstawić cały stan społeczeństwa naszego w pierwszej połowie XVI wieku, a więc pod względem politycznym, religijnym, społecznym i literackim, trzeba było dać obraz ówczesnej szlachty, z pomiędzy której wyrósł nasz Enniusz, jak Klonowicz nazywa Reja, stanu nauk w Polsce i tego prądu, który prawie równocześnie w Niemczech i u nas powołał do życia narodową literaturę. Autor Reja wspomina wprawdzie słów kilka o humanizmie i o politycznym stanie Polski za Zygmunta I. ale tylko bardzo pobieżnie, natomiast poświęca cały rozdział historji reformacji w Polsce. Prawdą jest, że reformacja jest najgłówniejszą cechą XVI wieku, że w niej najlepiej odźwierciedla się walka między starym i nowym porządkiem, która trwa przez cały wiek XVI i większą połowę wieku XVII ale obraz ruchu religijnego pozostanie na zawsze tylko jednostronnym obrazem wieku. Autor rozpisuje się szeroko o reformacji i daje w streszczeniu całą jej historję. Według nas należało tylko to podać, co pośrednio albo bezpośrednio będzie można odnieść do Reja, a właśnie tego jak najmniej znajdujemy w pracy p. Z. Nie znajdujemy także w pierwszym rozdziale monografji p. Z. skreślenia stosunku w jakiem Rej do ówczesnych literatów polsko-łacińskich się znajdował, co według nas rzuciłoby nie jeden promyk, rozświecający działalność literacką Reja.

Cały pierwszy rozdział mógł autor z czystem sumieniem wykreślić, a praca jego nic na tem nie straciłaby, chyba tylko tyle, żeby była o czwartą część krótszą.

Rozdział drugi poświęcony jest biografji Reja. Wiadomo jest wszystkim, choćby tylko powierzchownie z historją naszej literatury obeznanym, że Rej miał swego znakomitego biografa, w osobie przyjaciela i najszczerszego druha, Andrzeja Trzecieskiego, który w krótkim czasie po jego skonie napisał żywot naszego pierwszego poety w sposób zarówno malowniczy, jak szczegółowy. Z życiorysu Trzecieskiego korzystali wszyscy późniejsi pisarze, którzy się Rejem zajmowali, więcej powiem, wszyscy *przerabiali* tylko dzieło Trzecieskiego. Tym samym torem poszedł i p. Z. czemu się bynajmniej nie dziwimy, bo cóż można więcej napisać o człowieku zmarłym przed 300 laty nad to, co o nim współczesny jego przyjaciel napisał? P. Z. uzupełnił wiadomości o życiu Reja niektóremi szczegółami wziętemi z herbarza i świadectwami o nim współczesnych i późniejszych pisarzy. Co się tyczy tego ostatniego punktu zauważyć musimy, że autor „Reja“ czerpał owe świadectwa prawie wszystkie z drugiej ręki. Dla dowodu notujemy, że świadectwa o Reju biskupa Wereszczyńskiego i Michała Hesperusa wypisane są z Wiszniewskiego „Historji literatury“ T. VII. Uznania godną choć niezupełnie samoistną jest w tym rozdziale dysertacja o roku urodzenia Reja. Że Rej urodził się r. 1505 było to już dawno udowodnione: od Wiszniewskiego począwszy prawie wszyscy pisarze przyjmują r. 1505 za rok urodzenia Reja. Pan Z. bardzo dobrze zrobił umieszczając w swem dziełku przebieg tej polemiki.

W rozdziale III. zatytułowanym: „Pisma Reja“ idzie p. Z. przeważnie za Wiszniewskim, i korzysta bardzo wiele z jego erudycji. Mimo to jest to najlepsza część rozprawy. Autor widział wiele wydań, które poprzednikom jego były nieznane i sumiennie wynotował wszystko co mógł zebrać do części bibliograficznej. Brak funduszów do odbywania dalekich podróży, jest przyczyną, że znajdują się i w tej części pewne niedokładności, które dopiero z czasem mogą być usunięte. Wyznać jednak należy, że dla bibliografji praca p. Z. jest wielkiej wagi.

„Pogląd krytyczny“ jest ostatnim rozdziałem rozprawy p. Z. „Rej nie jest wielkim poetą, za jakiego go miano“ oto teza, której p. Z. broni i dowodzi. Zgadzamy się z nim zupełnie, pozwolimy sobie zrobić mu tylko maleńkę uwagę, że nie jest on pierwszym, który to utrzymuje, jak to p Z. na pierwszej stronie swej rozprawy w czytelników wmówić usiłuje. Większość pisarzy ceni Reja tylko jako pierwszego, który zaczął pisać pq polsku, niektórzy przyznają mu (i to słusznie) pewien talent poetycki jakkolwiek nieokrzesany; Wiszniewski (T. VII. str. 26.) utrzymuje to jeszcze dobitniej niż p. Z. a dr. Małecki, w swoich wykładach uniwersyteckich, z których p. Z. bardzo wiele w swej pracy korzystał, udowodnił to namacalnie. Naszem zdaniem powinien był p. Z. zacytować wykłady dr. Małeckiego, których razem z autorem miałem przyjemność słuchać. Styl w rozprawie p. Z. gładki i czysty, grzeszy jednak często napuszystością, której jednak mamy nadzieję że się w przyszłych pracach pozbyć potrafi.

Tych kilka wierszy podyktowało nam uznanie talentu autora, któremu można wróżyć piękną przyszłość, jeżeli pójdzie drogą gruntownej pracy.

B. Czerwieński.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris, Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.)

„Domy mieszczańskie stolicy Japonji składają się, podobnie jak w całem państwie, z ciężkiego dachu na filarach. Są one więc przezroczyste od ulicy i podwórza. Na noc zamykają je za pomocą ścianek zasuwanych; niektóre mają przepierzenia z ram naklejonych małemi arkuszami papieru białego. Przechodzeń łatwo może dojrzeć, co się dzieje w tych domach, może badać życie wewnętrzne wyspiarzy. Ciekawy obaczy tam w porze letniej kobiety na pół nagie, krzątające się około gospodarstwa, tudzież obnażonych mężczyzn palących fajki na podłodze i dzieci igrające w przedsionkach; obaczy tlący ogień w kącie izby, a naprzeciw bożków domowych na postumentach: lampę gorejącą, wieńce kwiatów z papierowemi chorągiewkami przyczepionemi do badyli, a na kwadratowej tacy małe filiżanki przygotowane do herbaty, którą mieszkańcy raczą się od rana do wieczora. Nie ma tam żadnych mebli, zastępuje je piękna mata, służąca do siedzenia na posadzce; a wszystko odznacza się wzorową czystością. Jeżeli dom jest handlowym, piętro jego opatrzone zazwyczaj drewnianą kratą i gankiem, służy na skład towarów. Są wreszcie wśród miasta magazyny zawarowane od ognia, rodzaj niskich wieżyc drewnianych z powłoką z cementu, o małych okienkach z żelaznemi okienicami. Na wypadek pożaru lub gwałtownej trąby morskiej, krajowcy znoszą pospiesznie do tych magazynów co mają najkosztowniejszego, a sami uciekają. zostawiając swoje skarby na wolę wiatrów, burzy lub trzęsienia ziemi. Dla uzupełnienia obrazu miasta, wystawić sobie potrzeba ogromne mnóstwo jednostajnych, podobnych do siebie, drobnych domków, a w części handlowej Soto-Jiro ozdobionych po większej części czarnemi wieżyczkami, tudzież ulice, które chociaż nie są szerokie, zdają się być takiemi z powodu niskich budynków, a wśród których kręcą się mężczyzni, białogłowy niższego stanu, gdyż damy nie pokazują się publicznie, bo to nie należy do dobrego tonu, tudzież dzieci i przeważająca liczba ślepych, nakoniec toczące się tam i owdzie lakierowane o dwóch kółkach z białemi budkami wózki (zinrikisha), każdy ciągniony przez człowieka. Od niedawnego czasu wynalazca tego rodzaju dorożek zrobił już majątek. Radzę atoli temu, ktoby miał ochotę przejechać się na nich, a nie życzył sobie szturkać się wzajemnie z istotą łączącą w jednej osobie woźnicę i konia, aby nie poruszał się z siedzenia i trzymał kolana przy sobie. Niechaj także przygotuje się na różne niespodzianki, n. p. na stoczenie się koła, zapadnięcie siedzenia, oberwanie budki i t. p. Wózki te napełnione bonzami (kapłanami), śpiewaczkami i tancerkami, odznaczającemi się wysoką fryzurą, tudzież zwykłymi śmiertelnikami japońskiego kraju, podobnymi do figurek, jakie oglądamy często na wazach porcelanowych, wachlarzach i książeczkach ryżowego papieru, nader malowniczy i charakteryzujący stolicę wschodu przedstawiają widok. W bogatych jej dzielnicach, dokąd lubią wmykać się złodzieje w nadziei korzystnych zdobyczy, widać porozstawiane gęsto odwachy, straże i bramy w ulicach. Te ostatnie zatarasowane na noc, stoją na przeszkodzie od krążenia po mieście ludziom uczciwym, nie tworząc nieprzebytej zapory dla rzezimieszków. Jako cień do nocnego obrazu, dodać należy czyścicieli, przy spotkaniu których choć odwraca się głowę i przyspiesza kroku, uniknąć jednak trudno zaraźliwej woni. Pominąwszy to, nie ma zapewne znacznego miasta w Azji, a mało jest takich nawet w Europie, któreby dały się porównać z Yedo pod względem czystości. Stolica ta nosi także cechę ogólnej pomyślności, roskoszy i wesela, pocieszających widza. O każdej godzinie oddają tam cześć na ulicach jakiemuś bożkowi. Przed każdym domem pozatykane są wtedy trzciny bambusowe z wieńcami sztucznych kwiatów; przed świątyniami wznoszą się słupy z nagrodami dla tych, co zdołają się wdrapać na ich wierzchołki; suną się procesje z bonzami na czele; a spokojni mieszczanie przypatrują się im z progów zagród domowych, zadowoleni iż mają pozór aby n c podczas uroczystości nie robić i że ryż rodzący się w obfitości pozwala im trochę próżnować. Zresztą w starej Japonji ludzie poprzestając na małem nie znają zbytków i niedostatku. Umiarkowanie w dobrobycie zdaje się być głównym warunkiem ich szczęśliwości. Rzadko tam napotykałem żebraków a i ci nie narzucali mi się wcale. Wyłudzali oni jałmużnę z nałogu raczej niż z nędzy. W herbaciarniach miałem sposobność obserwowania dzieci żebrzących. Nauczono biedaków poruszać śmiesznie ogolone głowy i zawodzić śpiewem pochwały dla gości. Widok zaiste zabawny, gdzie ubóstwo przedstawia się w karykaturze! U nas żebrak z rzemiosła usiluje rozczulić, w Japonji pobudza do śmiechu: udane częstokroć jęki pierwszego przejmują słuchacza wstrętem, komiczne sztuczki drugiego rozweselają, a potem oddziaływają na serce. Pomysł zaprawdę nie zły, a w każdym razie praktyczny.

* *

Odwiedziłem pierwszepo ministra spraw zagranicznych, nazwiskiem Sawa Nabuyoshi. Ma on dopiero około lat pięćdziesięciu, a wygląda już jak starzec, gdyż w Japonii żyje się szybko. Przyjemne i otwarte oblicze p. Sawy, przybiera piętno jakiejś niewymownej uszczypliwości, gdy żartuje, nie tracąc jednak wyrazu dobroci pociągającej ku niemu. Zarówno sam, jak i syn jego, urodziwy młodzieniec,

przyodziani byli w skromne tuniki kitajkowe, odznaczając się szlachetnością ułożenia i uprzejmością. Młodzian na rozkaz ojca przyniósł mi z głośnym śmiechem na pokazanie paradną, tkaną z jedwabiu haftowaną złotem odzież matki swojej.

Sawa będąc człowiekiem wysoce uczonym, opowiadał wiele zajmujących szczegółów pod względem zwyczajów, historji i zabytków starożytności swojego kraju. Korzystając ze sposobnej chwili, objawiłem chęć zwiedzenia Kiyoto (Miako) na co potrzeba mieć wyłączne pozwolenie od rządu.

— Co pan chcesz robić w Kiyoto? — odparł zaniepokojony. — Jest to mieścisko stare, trochę zaniedbane od czasu jak Mikado przeniósł do Yedo swoją rezydencję, zniszczone zresztą przez pożary. Przypuściwszy, żebyś pan tam się udał, to i inni Europejczycy zapragnęliby prawdopodobnie pójść za jego przykładem, a obawiam się, zważywszy, iż jest wielu złośliwych między Kiyotanami, aby się panu nie trafił jaki wypadek. Dla tego nie radziłbym tam jechać! Zresztą pożar — jak mówiłem — w perzynę obrócił nowe, najpiękniejsze zabudowania.

— „Zgodzi się minister“ — odrzekłem — iż nie nowe budynki nęciły moją ciekawość, lecz właśnie najdawniejsze i najwspanialsze świątynie. Pan, tak wielki znawca architektury, mógłżebyś utrzymywać, że Kiyoto nie jest najstarożytniejszym grodem w Japonji? Sądzę, że nie. — Trafiłem w słabą stronę p. Sawy, z uśmiechem zawołał:

— Masz pan słuszność. Pozwól mi wszakże zastanowić się trochę nad oznajmionem żądaniem... Będę się starał znaleść dowody ku poparciu takowego w obec rady ministrów.“

Sawa, wykształcony i światły, lubiący reformy postępowe, za zbyt jednak rozumny, aby mógł zgodzić się na zbytni pośpiech co do reform, pośpiech będący hasłem w dzisiejszych sferach rządowych, przewidywał, że musi użyć całej potęgi wymowy z zachowaniem wszelkich ostrożności, aby wyjednać Europejczykowi wstęp do miasta świętego, tak dalece idea nieprzypuszczania profanów do tajemniczych skarbów Japonji zakorzeniła się od trzech wieków w narodzie. Nie przeszkadza to atoli rządowi do ułatwiania swoim poddanym podróży do Europy, przyjęcia ubiorów i obyczajów naszych, jakoteż nauki języków zagranicznych. Założono nawet w Yedo szkołę niemiecką.

Zauważałem przy zwiedzaniu Shiba, miejsca świątyni, pomników, grobowców i bogatych klasztorów, że teraźniejsi kapłani, bonzy japońskie, są już wczęści wywłaszczeni ze swoich posiadłości, że dano im trochę pieniędzy i poradzono — w brew ich woli — aby się co prędzej żenili; klasztory zaś zasekwestrowane przeistoczono na koszary. Jestto reforma najnowsza i jak się zdaje ostatnia. Odzywają się nadto w radzie ministrów głosy za zupełnem zniesieniem budaizmu i zburzeniem świątyń służących na cześć Lamy w Shiba, które podobnie jak Kiyoto, mieści cenne zabytki sztuki japońskiej. — Budyści jednak wraz z Europejczykami, osiadłymi w Japonji, energicznie protestują w dziennikach w Jokohama przeciwko tym wandalsko - cywilizacyjnym zamiarom pewnych członków rządu.

Inne ważne reformy są także na porządku dziennym. Wiadomo, że edyktem z dnia 29. sierpnia rząd skasował od razu, za jednem pociągiem pióra, władzę książąt feudalnych (daimios). Jestto fakt ogromnej doniosłości, ponieważ niszczy system, sięgający swym początkiem do najodleglejszych czasów, rzucając zarazem ziarno rewolucji politycznej i społecznej. Dotąd wprawdzie edykt wzmiankowany zostaje jeszcze na papierze jako litera niemal martwa, albowiem w Japonji, bardziej niż gdzieindziej, pisać ustawy a wprowadzić je w życie, są to dwie rzeczy różne. Rząd nie chce zbytecznie oburzyć na się d a i m i o s, pozostawił im początkowo zarząd administracyjny zabranych lenności, i to już z tytułem rządców czyli delegatów mianowanych przez Mikada; wkrótce zaś potem odwołał pierwotne postanowienie, oddając administrację lennictw urzędnikom wyłącznie na ten cel naznaczonym. Tak więc d a i m i o s a przy tej sposobności i wielu pierwszorzędnych dygnitarzy państwa utraciło swoje posady. Pomiędzy innymi usunięto starego Sawę z ministerjum spraw zagranicznych, a na jego miejsce posunięto Iwakurę Tomomi, uchodzącego za więcej postępowego od swego poprzednika.

Sawa tedy, ów pan z panów japońskich, protektor nauk i sztuk wyzwolonych, sam trudniący się malarstwem tudzież badaniami w dziedzinie historji, znosi obecnie wśród dostatków majątku swego niełaskę dworu. Był właśnie dzisiaj z synem na objedzie w legacji angielskiej, zwyczajny dobry humor nie opuszczał go wcale, gdy się zaś zgadało o jego dymisji, zawołał: „To i dobrze! powrócę do mych książek.“ (C. d. n.)

Z ŻYCIA ZWIERZĄT.

Z zapisków Dr. E. Janoty.

SZYMPANS W ZOOLOGICZNYM OGRODZIE W FRANKFURCIE NAD MENEM.

(Dokończenie.)

Oba szympansy żyły z sobą w zgodzie. Nera była z początku bardzo żywą i swawolną, co gniewało Bellę do tego stopnia, że się rzucała na podłogę, rękami i nogami biła naokoło siebie i przeraźliwie krzyczała, zupełnie jak to czynią uparte dzieci. Nera atoli nie zważała wcale na to, a Bella uspokajała się wówczas także rychło. Ścigania się, szamotania i przewracania, jak to u innych małp codziennie widzieć można, u tych dwóch nie spostrzeżono i drażnienie wzajemne polegało zwyczajnie na tem, że jedno przechodziło obok drugiego i lekko ręką je uderzało, poczem drugie w podobny sposób się mściło. Zębów, nawet igrając z sobą, nigdy nie używały przeciwko sobie.

Aby widzieć, jak sobie poradzą, kładąc się spać, dano im umyślnie tylko jedne kołdrę. Nera przywłaszczyła ją sobie natychmiast i użyła jej sposobem zupełnie stosownym. Bella usiadła tymczasem w kącie z płaczliwym wyrazem twarzy, jakoby o pomoc prosiła. Odebrano więc Nerze kołdrę i rozłożono ją bliżej Belli, poczem obie zabrały się do wspólnego jej użycia, co im się też wreszcie dosyć dobrze udało. Następnego wieczora Nera znowu dla siebie zabrała kołdrę; dano więc Belli inną: Nera atoli z największym spokojem, bez najmniejszej zmiany twarzy przyciągnęła i tę kołdrękę sobie i chciała jej także dla siebie użyć. Odtąd dostawały każda kołdrę i wreszcie poprzestały przywłaszczać sobie cudzą własność.

Poruszanie się tych zwierząt na ziemi jest dosyć niezgrabne; widać zaraz, że więcej są usposobione do wspinania się i skakania po drzewach. Zwyczajnie trzymały się jedną ręką liny lub opierały się mocno o ścianę klatki; najwięcej lubiły z jednego miejsca na drugie przenieść się przy pomocy liny. Nie kroczą one wyprostowane, lecz chodzą na czworaku. Krocząc, opierają zewnętrzny brzeg nóg tylnych o ziemię, zwinąwszy palce mocno w kułak. Przednie ręce dotykają się ziemi tylko kostkami palców. Nie widziano nigdy, ażeby podeszwą lub dłonią opierały się o ziemię. Jeżeli się czasem, i to tylko wyjątkowo i na chwilę, wyprostowały, podpierały się przynajmniej jedną przednią ręką. Tak krocząc zataczały się jak kaczki, a tylne nogi dotykały ziemi tylko zewnętrznym brzegiem stopy, a nie podeszwą. Jeżeli szympans nie podpierając się, prosto idzie, co rzadko się zdarza, wówczas podnosi ręce ponad głowę dla utrzymania równowagi. Poruszenia ich są wówczas szybkie i zwyczajnie pada szympans naprzód, jak się to zdarza u małych dzieci, które nie umieją jeszcze utrzymać się na nogach i lada chwila zdają się upaść. Częściej suwały się szympansy po ziemi, szczególniej gdy im się spieszyło, a w tym wypadku posuwały się naprzód tylnemi nogami, tak że kolanami i goleniami dotykały się ziemi, podczas gdy ręce aż po łokieć spoczywały na ziemi.

Wkrótce Nera zachorowała i umarła 17 września 1871 w skutek ogólnego braku krwi. Przy sekcji okazały się jeszcze nabrzmienia i zaropienia gruczołów, tudzież gruźlica w kiszkach. Podczas jej choroby siedziała Bella ustawicznie przy niej, i spoglądała na nią z szczególnym wyrazem spółczucia i boleści w twarzy. Bardzo się gniewała, gdy się dotykano chorej towarzyszki, a gdy ją niekiedy w cieplym dniu na przechadzkę wyprowadzono, biegła za nią, kwiląc boleśnie, i nie pozwalała nawet głaskać się, gdy usiadła na ławce koło Nery. Na tych przechadzkach stała się łaskawszą jedynie tylko z przywiązania do towarzyszki swojej. Gdy Nera umarła i gdy ją wyniesiono, przez niejaki czas Bella bardzo krzyczała i tarzała się po ziemi, lecz wkrótce uspokoiła się i bawiła się znowu, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie było zaszło. Podobnie zachował się szympans w ogrodzie zoologicznym w Hamburgu przy śmierci towarzysza. W roku 1871 w marcu nabyto do tego ogrodu dwa szympansy samice. Jedna z nich umarła 22 listopada 1871. Pozostała szukała towarzyszki całemi godzinami po wszystkich kątach klatki i smutek swój najwymowniej okazywała. Nie trwał on jednak długo. Podano jéj ścierkę. Wzięła ją i zamoczyła, jak to widziała u stróża, w zbiorniku wody znajdującym się przed klatką, wyciągła, skręciła jak sznur, wycisnęła wodę, rozwinęła, wytrzepała i wycierała w końcu starannie wszystkie pręty i żerdzie drzewa służącego do spinania.*) Ileż to ludzi zachowuje się w podobnym wypadku inaczej?!

Po śmierci Nery myślano o towarzyszce dla osamotnionej Belli. Gdy jednak na razie nie było można dostać szympansa, dyrektor ogrodu wsadził do klatki na pół dorosłego królika. Bella przystąpiła do niego i schwyciła go tak zręcznie za długie uszy, że obecny dyrektor niemało się zadziwił. Mięciuchny włos królika zdawał się miłe robić wrażenie na Belli, głaskała go bowiem już to rękami, już też twarz swoją tam i sam po nim przesuwała, kładła się z założonemi na krzyż rękami na podłogę przed królikiem, aby dokładnie i z największą uwagą śledzić każdego ruchu jego. Wielce się zdziwiła, gdy zobaczyła królika owąchującego kilka źdźbeł, i niezawodnie nie mogąc pojąć, że słoma może także służyć do pożywienia, wzięła kilka źdźbeł i rozgryzła na próbę. Wkrótce znudziło ją zwierzątko przebywające bezustannie na ziemi; zaczęła więc przemyśliwać, jakby je wziąć z sobą na drzewo. Atoli własnych czterech rąk potrzebowała sama do wspinania się i żadnym sposobem nie mogła dójść do tego, aby mieć jedną rękę wolną ażeby nią ująć towarzysza. Lecz wnet sobie poradziła, chwyciła bowiem królika ostrożnie zębami za uszy i wygodnie wyszła z nim na drzewo. Usiadłszy sobie na wierzchniej płycie, chciała go wziąć w ręce; lecz królik wymknął się i zeskoczył na słomę. Że atoli takie figle wykraczały poza granicę zamierzonej zabawy, dlatego na miejsce tego królika dano jej innego dorosłego i daleko cięższego. Tego Bella nie mogła już włóczyć, jakkolwiek usiłowała podnieść go za uszy lub za skórę: za to umiała uczynić go sobie posłusznym, lubo bardzo dziwnych używała sposobów do osiągnienia celu swego. Tak np. gdy się królik od niej oddalił o kilka stóp, a Bella życzyła sobie mieć go przy sobie bez udania się za nim, rzucała się na ziemię, biła rękami i nogami i wrzeszczała. Królik oczywiście ani tego nie rozumiał, ani nie zważał na to. Bella podniosła się więc przybliżyła się do niego i przygarnęła go do siebie. Po niejakim czasie doprowadziła ona do tego, że królik przychodził do niej, gdy udawała zagniewaną, a w końcu potrzebowała tylko ruszyć się, i już królik przybywał. W ogóle przyzwyczaił się królik przebywać tuż przy Belli, tulił się do niej i leżał przy niej, gdy spała, przyczem Bella trzymała zwykle rękę na grzbiecie królika; gdy Bella odpoczywała, wolno było królikowi łazić po niej i lizać jej twarz i włosy. Nieraz używała go Bella za wezgłówek, gdy chciała spać, a królik nauczył się wkrótce w tem położeniu leżeć cicho. Przyzwyczaił się także do wszelkiego jadła, które podawano Belli; pozwalała mu nietylko jeść z sobą z miski, lecz podawała mu często chleb i owoce, zupełnie jak to dzieci zwykły czynić, ciesząc się, gdy królikowi smakowało. Osobnego jadła dla królika nie można było dać do klatki, gdyż Bella wszystko musiała kosztować, a nieraz większe połykała ilości strawy nie przeznaczonej dla niej, a zatem niestrawnej i szkodliwej. Niekiedy dostawał królik wiązkę siana jak pięść wielką a powrósełkiem mocno związaną. Bella nie mogła się wstrzymać, aby z tego siana nie robić sobie pościółki, niby gniazda, biorąc siano na łóżko swoje, rozkładając je naokoło siebie, równając i przygniatając je rękoma. Przy tej czynności używała nie tylko dłoni, ale także górnej części ręki. Powrósełko zakładała sobie już to na ręce przednie już też na tylne. Podobnież przyozdabiała się niekiedy źdźbłami, które wyjmowała z łóżka i na kształt przewiązki kładła na szyję i ramiona.

Mimo odrębnych warunków życia, w których znajdował się królik przy szympansie, większej niż mu była potrzebną, ciepłoty i niestosownego pożywienia, nie zdawało się, aby mu było źle. Bella

---

*) Der zoolog. Garten. 1872. Str. 49.

nie krzywdziła go też właściwie nigdy. Piętnaście miesięcy żyły oba zwierzęta razem, i oba umarły równocześnie 28 listopada 1872, szympans na szybko postępujący rozkład krwi, królik zaś został przez towarzysza podczas zgonu uduszony. Bella słabowała już od lipca, śmierć atoli nastąpiła nagle i niespodzianie. Sekcja wykazała zatycie serca, niedokrewność we wszystkich częściach ciała i rozkład krwi.

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

S... S...

Nawyknienie jest drugą naturą, która niszczy pierwszą. Dla czego więc ono nie ma być naturalnem?

Pascal, Pensées.

Może nie ma drugiej filozoficznej teorji, któraby dla swej zasady zjednała tak ogólną wszelkich odmian i stopni myślenia zgodę, jak teorja dziedziczności. Od najprostszych spostrzeżeń ludu, aż do najgłębszych wywodów naukowego badania, w całym szeregu zawartych między temi granicami poglądów przewija się ciągle nić tej hipotezy łączącej jednostki w nieprzerwany łańcuch wzajemnych od siebie zależności. Czy spytasz się najzwyklejszego przysłowia, czy najgenjalniej pomyślanego systematu, czy zwrócisz się do stronnictw z godłami wiary czy niewiary, czy wsłuchasz się w mowę religijnego proroka czy szydzącego zeń materjalisty — wszędzie i zawsze spotkasz się z tą na tysiące sposobów przerabianą prawdą. Jestto rzeczywiście dziwny widok zgody rozpierzchłych w rozmaite strony prądów ludzkiej myśli. Tę samą bowiem maksymę, którą nasz chłopek wyraża w przysłowiu „jaki ojciec taki syn“, odnajdziesz w psychologicznej formułce najznakomitszych naukowych traktatów, twierdzących że „każda istota rodzi sobie podobną“ (Lineusz). Podanie Biblji o przekazującym się z pokolenia na pokolenie pierworodnym grzechu występuje jako argument w materjalistycznych doktrynach. „Podanie to, mówi Dr. C. F. Hock*) ma wszelkie powody tryumfować z rezultatów dzisiejszej statystyki wykazującej stałość i ciągłość w moralnem skażeniu społeczeństw.“—„Kobieta, mówi indyjskie prawo, zawsze wydaje na świat syna obdarzonego przymiotami ojca.“ — „Święte łono rodziny — pisze protestancki teolog**) — wskutek wynaturzenia się ludzkiego rodu jest pośrednikiem w szerzeniu się moralnej zarazy, dzieci bowiem są bezpośrednio dziedzicami natury swych rodziców“. — „Natura, powiada materjalista — daje następnym pokoleniom to co posiadały.“ (Lamarek). Mogłbym do nieskończoności mnożyć cytaty, które mimo najrozmaitszych swych źródeł zgadzają się na jedną zasadę.

Nie ulega wątpliwości, że zgoda ta jest najwymowniejszem świadectwem istnienia samego faktu, z drugiej jednakże strony służy ona za motyw najstraszniejszemu wyrokowi jaki człowiek kiedykolwiek na siebie wydał. Zgodziwszy się na wnioski postawione przez hipotezę dziedziczności, rozwiniętą do najdalszych krańców, zgodzilibyśmy się na bezratunkową uległość fatalizmowi rozgrzeszającemu zbrodnię z wszelkiej odpowiedzialności i odbierającemu cnocie wszelką wolę. Bo jeżeli przyznamy prawu dziedziczenia bezwzględną nad nami władzę, to w takim razie ani nasze czyny moralne nie mogą się nam rachować za zasługę ani niemoralne za winę. Natura z góry wykreśla nam drogę z której zejść nie możemy — wszyscy zatem jesteśmy niepoczytalni i zarówno w zbrodniach jak poświęceniach etycznie równowarci. Wprawdzie na konkluzję taką oburza się cała nasza godność, oburzenie to jednak wcale jej nie znosi. Tam bowiem gdzie idzie o prawdy ściśle wywodzone, nawet najszlachetniejszy nasz smak nie jest żadnym argumentem. Nauka stawiając wnioski nie pyta się wcale o to czy one są dla nas przyjemne, ale o to czy są prawdziwe. Chociażby nam największy wstręt sprawiało odkrycie, że mózg nasz może być przygotowany sztucznie w retorcie, i to gdyby tak było istotnie, nauka nie wahałaby się wyznać, a ogół musiałby przyznać. Jeżeli więc kiedykolwiek wystąpi i podrażni nas jakaś zuchwała lub na skandaliczny rozgłos spekulująca doktryna, a my chcemy ją odpędzić jedynie gniewem lub odmiennym gustem, nie tylko nie robimy jej żadnej krzywdy, ale nawet pomagamy do powodzenia. Silniej zachwiał teorją Vogta jeden dowiedziony mu zarzut nieuctwa, niż miljony gołosłownych wrzasków. Ztąd też najrozumniejszą zdaniem mojem taktyką każdego prądu jest nie wyrazowe ale dowodowe dyskredytowanie przeciwnych, nie walka na frazesy ale na argumenty. Tego właśnie systematu trzymać się będę rozsnuwając przed czytelnikami „Tygodnia“ jedno z najważniejszych, bo bezpośrednio życia się tyczących zagadnień, mianowicie kwestję moralnej dziedziczności, która do dziś jest w wielu punktach przedmiotem najżarliwszego sporu. Powiedziałem na wstępie, że sam fakt zyskał zgodą najprzeróżniejszych opinji, sprawiedliwość jednak wyznać każe, że i on posiada swoich przeciwników. Wszakże opozycja jest tak nieliczną a przytem tak słabą, iż chociaż w swem łonie liczy wielkiego angielskiego myśliciela Buckla, może być zupełnie i zwykle bywa w rozprawach nad dziedzicznością pomijana. W tym bowiem razie jak i w wielu innych, znakomity autor „Historji Cywilizacji w Anglji“ zdradził nadzwyczajną powierzchowność sądzenia i nieznajomość rzeczy*). Zrzekając się zatem daremnej i niepotrzebnej sprzeczki, przystępuję wprost do przedmiotu, który traktować będę w ramach następujących pytań: 1) jakie są faktyczne dowody przekonywające nas o istnieniu prawa dziedziczności; 2) w jakiej formule wyrazić się da to prawo na podstawie naukowych danych; 3) czy ma jakąkolwiek umiejętną rację teorja fatalistów; 4) jaką najprawdopodobniejszą zasadą odnieść można do dziedziczności usposobień moralnych t. j. charakteru.

Nieoszacowanej wartości prace nowszych uczonych, szczególniej zaś Lucas'a i najświeższa Ribot'a, ułatwiają mi tak dalece przedstawienie faktycznej strony przedmiotu, że mogę z nich zaczerpnąć gotowy materjał. Co się więc naprzód tyczy dziedziczności fiziologicznej, nauka, która zresztą powołać się może na nasze codzienne doświadczenie, niezależnie od niego zebrała masę ciekawych spostrzeżeń. Tak n. p. podług świadectwa Hillera — mówi Ribot — w rodzidzinie Bentivoglio ojcowie przekazywali synom wydatną nabrzmiałość, która rozdymając się pod wpływem wilgoci powietrza ostrzegała ich zawsze o atmosferycznych zmianach. Zdarzają się wypadki fizycznego podobieństwa, które często dochodzi aż do złudzeń w poznawaniu osób. Pewien śpiewak nazwiskiem Noweit występował ze swemi synami w operze, której intryga poległa na pomysłach sprowadzonych podobieństwami. Tożsamość rysów była tak zdumiewająca, że publiczność nie mogła na równi z innemi postaciami sztuki odróżnić ojca od synów. Dziwniejszemi są jeszcze wypadki, w których dzieci stają się na przemiany podobne do ojca i matki. Girou de Buzareigues opowiada o dwóch znanych mu braciach, którzy w dzieciństwie podobni byli do matki, siostra zaś ich do ojca. Potem stosunek zmienił się odwrotnie. Dziedziczność fizjologiczna ukazuje się we wszystkich organach ciała, w ich sile i szczególnej naturze. Są rodziny przekazujące w spadku długie i krótkie życie. Z ostatniego sławną była np. rodzina Turgot, której członkowie nie przechodzili po za wiek lat 59. To też gdy dla jednego z nich świetnie zapisanego w historji, zbliżyła się ta fatalna epoka, mimo oznak pozornego zdrowia, przeczuł zbliżającą się śmierć, przerwał rozpoczęte prace i rzeczywiście umarł w 53 r. życia. Toż samo zauważano odnośnie bezwiednych nawyknień.

(C. d. n.)

*) Tübing. *Zeitschrift für Staatsw.* 1867.

**) Oettingen, *Moralstatistik* Erlangen 1874.

*) Nie chciałbym przed mniej z nauką obznajmionym czytelnikiem skarżyć gołosłownie pisarza, który sobie zasłużył na trwałą pamięć u potomności. I dla tego zaznaczam, że niektóre twierdzenia Buckla np. o stałości prawd moralnych itp. nie mają żadnej racji wobec świadectwa faktów, i dziś już za błędne zostały uznane.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Kazimierz z Truskowa czyli pierwszy i ostatni litewski powstaniec, przez Bonawenturę z Kochanowa. Poznań. 1874.

Dzieło to zawiera bardzo cenne i dotąd nieznane materjały do historji powstania na Litwie w r. 1831. Najbardziej sympatyczną jest postać Kazimierza Truskowskiego. On to pierwszy powstał na Litwie, on, choć starzec 60-letni, gdy w Królestwie i na Litwie zupełnie już upadło powstanie, obwarowawszy się w niedostępnych moczarach robił wycieczki. Później przez lat kilka ukrywał się jako leśniczy aż go pewien żyd zdradził i Moskwie wydał. Był to człowiek nieugiętego charakteru i żelaznej woli.

Skarb Watażki, powieść Władysława Łozińskiego. 1874.

Powieść powyższa, drukowana poprzednio w odcinku Gazety Lwowskiej, pojawia się teraz w osobnej odbitce. Jestto jeden z najlepszych utworów młodego powieściopisarza.

— Helena, powieść Turgeniewa, przekład Aleksandry Callier. Poznań. 1874.

Im więcej naród jaki pod względem obyczajów i zwyczajów od innych narodów się odróżnia, tem ciekawszą jest jego literatura powieściowa, zwłaszcza napisana przez autora tak znakomitych zdolności, jak Turgeniew. O ile Rossjanie różnią się od innych narodów europejskich wykazuje powyższa powieść, której bohaterka, tu aureolą chwały otoczona i „dzielną“ nazwana, na Zachodzie policzoną by była do moralnie zwichniętych i skrzywionych istot.

Niemiecka.

— Geschichte der europaischen Staaten. Herausgegeben von Heeren, Ukert und Giesebrecht. Geschichte Polens von Dr. Jacob Caro. IV. Teil. Gotha, 1875.

Szacowne to wydawnictwo zaczęte przed 50 laty po dłuższej przerwie wystąpiło obecnie z dalszym ciągiem historji polskiej przez J. Caro i mieści w sobie historję od r. 1430—1455. Przyznajemy, że z ciekawością oczekujemy krytyki naszych historyków. Wilhelm Giesebrecht, autor historji cesarstwa niemieckiego przyjął redakcję wspomnianego wydawnictwa.

— Journal des Museum Godeffroy. Geographische, ethnographische und naturwissenschaftliche Mittheilungen. Heft VI. Hamburg — 1873 — 1874. — L. Friederichsen et Com.

J. Cesar Godeffroy, kupiec w Hamburgu, wysyła rok rocznie wielką liczbę okrętów handlowych, które mają zlecenie zbierać przedmioty odnoszące się do nauk przyrodzonych dla wielkiego muzeum, przez ten dom handlowy założonego. Tym sposobem zasilane jest mu-

zeum przedmiotami z wysp Samoa które między 13 a 15 stopniem południowej szerokości na wschód od wysp Fidschi na Wielkim Oceanie są położone, i z Wschodniej Australji, a więc z bardzo mało dotąd znanych krajów. Co więcej wysyła na własny koszt badaczów przyrody przebywających lata w celach naukowych. Tym sposobem zbadane zostały przez Dra. Ed. Graffego wyspy Tonga, Fidschi i Samoa; Kubary zbadał wyspy Polau; pan Amalja Dietrych nareszcie przebywała przez 12 lat we Wschodniej Australji i przywiozła ze sobą zbiory do muzeum, które długie lata jeszcze uczonych zatrudnią. — Muzeum to zostaje pod światłem kierownictwem kustosza, znanego przyrodnika J. D. Schmeltza młodszego.

— Aus den Memoiren eines russischen Dekabristen. Beiträge zur Geschichte des St. Petersburger Militairaufstandes vom 17. (26) December 1825 und seiner Theilneher. Zweite Aufl. Leipzig — 1874.

Uczestników powstania z r. 1825 nazywają w Rossji Dekabrystami. Powstanie to miało na celu po zmianie panującego zaprowadzić zupełną zmianę stosunków wewnętrznych. Autor, Baron Rosen, oficer gwardji finlandzkiej, brał w tem powstaniu czynny udział. Wiadomo powszechnie, że i cesarz Aleksander sympatyzował z początku z tym ruchem i dopiero później, przestraszony podobnemi rozruchami w całej Europie, szczególniej zaś w Niemczech, stanął opornie. Brakowało jednak jakiegokolwiek kierunku, wszędzie panowała kompletna anarchja a gdy książe Trubeckoj, dyktator, przybył, nie było żadnych rozporządzeń, powiada sam autor na stronie 53. Skazanych podzielono na 12 kategoryj; z 5tej poszli do robót przymusowych na 10 lat, a potem na przesiedlenie do Syberji na całe życie. Autor należał do tych nieszczęśliwych, to też podróż do Syberji, przesiedlenie do Petrowska i życie więzienne nader drastycznie opisał. Bardzo miłe wrażenie sprawia opowiadanie autora o kobietach, które z bohaterskiem poświęceniem spieszyły za skazańcami, stanowiąc tu ogniwo, łączące ich ze światem.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— Zapowiedziany nowy dziennik polityczny „Ojczyzna“ zaczął wychodzić we Lwowie d. 29. grudnia. Z pierwszych numerów, które mamy przed sobą, nie mogliśmy sobie wyrobić jeszcze żadnego zdania, chociaż pierwsze nasze przypuszczenie, że będzie to organ umiarkowano-konserwatywny, w zupełności się sprawdza. Pojawienie się tego organu wyszło na pożytek czytającej publiczności, ponieważ istniejące już pisma, na widok nowego współzawodnika, rozszerzają swoje łamy i zaprowadzają ulepszenia, a wszystko bez podwyższenia przedpłaty.

— Znany nasz skrzypek, Henryk Wieniawski, został mianowany na miejsce Vieuxtemps'a profesorem skrzypców w konserwatorjum królewskiem w Brukselli, a prócz tego przełożonym koncertów i profesorem kwartetu.

— Kazimierz Szolc, Polak, wystawił w Watykanie obraz przedstawiający Chrystusa w chwili, gdy mówi: Boże mój Boże czemuś mnie opuścił! — Kompozycja i wykonanie mają być pełne zalet niepospolitych.

— Franciszek Liszt nową kompozycję swoją „Dzwony Strasburgskie“ zupełnie już ukończył. Wykonaną ona będzie wkrótce w Peszcie na koncercie,—który się tam urządza na dochód teatru Wagnera w Baireuth.

— 2. Grudnia wystawiono teatry „Ambigu, Varietés, i Monmartre“ w Paryżu na publiczną licytację in plus. Przy „Ambigu“ szczególniej toczyła się żywa walka i tak pędzono w górę, iż cena wywołania: 800000 fr. podniosła się do 1.055000 fr. Utrzymał się przy tym teatrze niejaki Tissier, ajent Chapelier'a; „Varietés“ objął Aimé za 810000 fr. a „Monmartre“ znowu Chapelier za 122000 fr.

— Pozostałe po Stuarcie Millu, nie ukończone studjum o socjalizmie wyjdzie w przyszłym roku na widok publiczny.

— Sułtan zamierza w Konstantynopolu wystawić nowy meczet w bliskości pałacu swojego. Ma on przewyższać wszystkie istniejące dotąd świątynie Allaha, — i z samego granitu a marmuru być zbudowanym.

— „Arc de triomphe de l'Etoile“ paryski, który uszedł szczęśliwie zniszczeniu z ręki pruskiej, w czasie wojny domowej mocno uszkodzonym został. Obowiązek patrjotyczny nakazywał przystąpić do restauracji tego pomnika sławy narodowej, — w pierwszych zaraz chwilach spokojności. To też już w r. 1871 roboty w tym celu rozpoczęto — pod kierownictwem budowniczego Normand — a obecnie nastąpi na nowo odsłonięcie tego dzieła sztuki. Restauracja kosztowała blisko 200000 fr. Sumę tę dodać potrzeba do 9.651, 185 fr. 62 centymów, — tyle bowiem kosztowała pierwotnie budowa tego wspaniałego pomnika.

— Z tak wielką niecierpliwością oczekiwane najnowsze dzieło Wiktoryna Sardou „La Haine“ dramat w 5 aktach i 8 obrazach pojawiło się wreszcie 4. grudnia po raz pierwszy na scenie paryskiego teatru Gaité. Rzecz tego wysoce patetycznego, ponurego utworu, któryby tragedją nazwać należało, odbywa się w XIV wieku w Sienie, a tło stanowią owczesne zacięte walki Gwelfów i Gibelinów. Offenbach napisał do tej sztuki pięć ustępów muzycznych, chóry i marsze, które zaiste poważnemu dramatycznemu kompozytorowi nie przyniosłyby ujmy.

— Jules Bonnassies, autor „Comedie française et les auteurs dramatiques“ oraz wielu innych z dziedziny krytyki i historji sztuki dramatycznej francuskiej, obecnie we wspólce z kilku specjalistami zawiązuje w Paryżu miesięcznik pt. „Le Théatre“ który zajmować się będzie ważnemi kwestjami teatralnemi a szczególniej krytyką i historją teatru. Pismo to zacznie wychodzić w początkach stycznia 1875.

— Jan Strauss nadesłał dyrekcji teatru an der Wien partyturę drugiego aktu swojej nowej opery komicznej i jednocześnie zawiadomił, że większa część ustępów muzycznych trzeciego aktu jest już na wykończeniu. Operetka ta nazywa się: „Cagliostro w Wiedniu“ — libretto do niej napisali F. Zell i R. Genée.

— 31. Marca 1875 r. odbędzie się w Paryżu otwarcie międzynarodowego kongresu jeograficznego. Posiedzenia jego zajmą od 8—10 dni czasu. Prezydować mu będzie prezes paryskiego jeograficznego towarzystwa, wice admirał baron de la Ronciere le Noury. Cały kongres podzieli się na siedem sekcji: matematyczną, hydrograficzną, fizyczną, historyczną, ekonomiczną, oświaty i podróżniczą. Program obejmuje dotychczas 123 kwestyj do rozwiązania. Składać będą ten kongres właściwi członkowie z wkładką 15 fr. i protektorowie, którzy na cele tego przedsięwzięcia 50 fr. lub więcej złożą. Z kongresem połączoną będzie wystawa przedmiotów mających związek z jeografją i pomocniczemi naukami, a mianowicie: książek, map, narzędzi itd. itd.

Podróże i odkrycia.

— Londyńskie towarzystwo geograficzne otrzymało z Australji wiadomość o nadzwyczajnej wędrówce podróżnika Johna Fostera po Australji. Wyruszył on z Champion Bay na wschodniem wybrzeżu północnej Australji, przeszedł w kierunku wschodnim zupełnie nieznane dotychczas okolice i tą drogą dotarł wreszcie do linji telegraficznej Adelajdy.

— Naczelnym dowódzcą angielskiej wyprawy podbiegunowej, o której już kilkakroć w piśmie naszem donosiliśmy, zamianowany został Jerzy S. Nares, komendant stacjonującej na wodach chińskich korwety Challenger.

— Do „New-York Herald“ doszły wiadomości z Chartum w Afryce o wyprawie pułkownika Longa do jeziora Wiktorja. Wyprawę tę zarządził pułkownik Gordon i powierzył koledze swemu dyplomatyczną misję do króla Mtesa panującego nad maleńkim kraikiem. Nganda zwanym, a leżącym nad jeziorem Wiktorja. Long znalazł u Mtesy bardzo dobre przyjęcie, w powrocie jednak zmuszony był odeprzeć napad krajowców. Jezioro Wiktorja wydało mu się mniejszem, aniżeli się spodziewał. Stan wody jego zmienia się tylko w porze dżdżystej. Z rezydencji Mtesy ruszył Long napowrót przez Mondogani (czy nie Urondogani?) i Farangani (Nyamyonjo?) wzdłuż koryta Nilu. Znalazł Nil pomiędzy spadkami Izamba i Karuma wszędzie spławnym dla okrętów. Pod 1° 30' płn. szer. odkrył nowe jezioro. Po Longu wybrał się znowu porucznik Cameron 17. lipca do Udschidschi. I od niego wiadomości nadeszły. Opłynął on południową stronę jeziora Taganyika i odkrył przypływ, który za rzekę Conce (Congo) uważa.

— W Amurze odkryto kopalnie złota — szczególniej w systemie wodnym Burei. „Burea“ tak piszą z Petersburga, wpada z północy do Amuru i od dawna już przez strzelców naszych z okolic Jakutska badaną była. Jednakże odkrycie złota było tu, jak i gdzieindziej dziełem prostego przypadku. Pewien robotnik, który niegdyś w kopalniach złota pracował, kąpiąc się w Burei w dzień gorący, uderzony podobieństwem tej okolicy do znanych mu miejscowości złotodajnych, zaczerpnął ręką nieco piasku z dna rzeki, przepłukał go wprawnie i ujrzał bryłki złota. Na wieść o tem przystąpiono do ściślejszych poszukiwań i odkryto nie tylko złoto, ale i pokłady torfu pokrywające złotodajny piasek a tak cienkie, że pokład złotodajny gdzie niegdzie na wskróś przez nie przegląda.

Statystyka.

— Od 24 Maja 1873 zamknięto w Paryżu dzienników 28, zawieszono 20, 165 zabroniono sprzedawać po ulicach. Z 28 tych zamkniętych—27 było republikańskich a jeden bonartystowski; z 20 zawieszonych — 16 republikańskich, 3 legitymistyczne a 1 bonapartowski; z tych których sprzedaż po ulicach zakazano 161 należało do stronnictwa republikańskiego a dwa do bonapartystowskiego i tyleż do legitymistycznego. Cyfry te nie potrzebują komentarza — kto Francją obecnie rządzi?

— W Jeddo, w Japonji, wychodzi obecnie 18 dzienników, codziennie, lub co pięć dni. Najbardziej rozpowszechnione z pomiędzy nich są: „Nischinshinjiski“ mający 1500 prenumeratorów, „Tokionichinichi Schimbum“ o 800 prenum. i „Chimbansaschi“ z takąż samą ilością czytelników.

— Ilość nauczycieli i profesorów w Stanach Zjednoczonych wynosi 221,000, — uczni 10,000,000. Budżet roczny na wychowanie publiczne wynosi na całą Amerykę 475,000.000 fr.

Wojskowość.

— Armaty bronzowe pomysłu generała Uchatiusa wytrzymały wszelkie próby nader pomyślnie. Obecnie postanowiono odlać ich większą ilość jeszcze i odbywać dalsze próby, znawcy bowiem jednogłośnie prawie osądzili, że wprowadzenie tych armat do austrjackiej artylerji polowej stanowić będzie nieoceniony nabytek dla niej.

— Wedle podań urzędowych w ciągu przeszlego roku zdarzyło się w wojsku angielskiem 7890 dezercyj. Największa część jednak zbiegłych żołnierzy oderwała się od jednego regimentu na to, aby się do drugiego zaciągnąć.

Gospodarstwo i przemysł.

— W gubernji Woroneżskiej w Rossji pojawił się dotąd nieznany owad-niszczyciel, który gospodarzom tamtejszym znaczne szkody wyrządza. Ten osobliwy, w niezmiernej ilości pokazujący się gość, jest to maleńki zielony robaczek; posuwa się on naprzód z nadzwyczajną powolnością, ale zaprawdę straszliwą żarłocznością się odznacza. W gubernji tej na przestrzeni 900 diesiatin (około 1000 hektarów) wszystkie oziminy do szczętu już zniszczone. Nawet silny mróz okazał się przeciw tej pladze bezskutecznym.

— Niedawno donosiliśmy na tem miejscu o zamierzonych olbrzymich i wielce kosztownych ulepszeniach w słynnej działolejni Kruppa w Essen. Obecnie ten sam dziennik, z którego zaczerpnęliśmy tę wiadomość, odwołuje ją jako wręcz fałszywą, owszem podaje że niezmierna ta fabryka uległa widocznie ogólnej stagnacji handlowej i przemysłowej, która nawet Prusy pomimo wziętych 5 miljardów dotyka— od 15. grudnia bowiem zredukowała ilość robotników swoich z 16000 na 8 tysięcy.

Nekrologja.

— Kazimierz, Józef Turowski, zasłużony wydawca „Bibljoteki polskiej,“ umarł d. 21. grudnia r. 1874 w Bereźnicy wyższej, w Sanockiem, licząc lat 62. Zasługi jakie położył w Galicji około rozbudzenia ruchu literackiego, są niepospolite. Wydając w swojej „Bibljotece“ dzieła wartościowe i prawdziwie patrjotyczne, uczył kraj czytać po polsku wtedy, kiedy ogół zaczął niebezpiecznie przesiąkać germanizmem.

ROZMAITOŚCI.

— Mroźna zima już się rozpoczęła. Sannę mamy nie złą, ale cóż z tego, kiedy zmowa dorożkarzy trwająca przez dni kilka uniemożliwiała sankowanie. Lwów wygląda zresztą dosyć głucho — a powodem tego, o ile się zdaje, „ciężkie czasy“ jakich oddawna nie pamiętają. Wszędzie brak gotówki. Kapitaliści stracili nie mało na giełdzie, gospodarze nie mają pieniędzy, bo ceny zboża niskie, a handel bez kapitalistów i gospodarzy kupujących cóż znaczy? Skutek jest ten, że magazyny po całych dniach stoją puste, w restauracjach mniej dziś osób jak dawniejszemi czasy, a nawet ślizgawka, to niegdyś najliczniej uczęszczane miejsce we Lwowie, miewa dziś stosunkowo bardzo nie wielu odwidzających. Zamiast zjeżdżać się, kto może ucieka ze Lwowa, a jeżeli świeżo wybudowany dom na Kulparkowie do reszty się zawali, jak tego łatwo spodziewać się możemy — to doprawdy nie wiadomo, gdzie się pomieszczą ci wszyscy, którzy tej zimy z nudów oszaleją.

— Prześliczna anegdota gwiazdkowa krąży obecnie po salonach Rzymu. Dziewczątko należące do rodziny rzemieślniczej zapragnęło gorąco — i czegóż można gorąco pragnąć w tym wieku? — lalki na gwiazdkę, — ale to lalki nie lada, ze świetną, białą i rumianą twarzyczką, z błękitnemi wielkiemi oczyma, złocistemi włosami i wykwintnym strojem, wedle ostatniej mody. Ale jakżeż urzeczywistnić podobne marzenie? Ojciec i matka nie mają dosyć pieniędzy na to. Dziewczątko błaga tedy Madonnę, błaga świętą patronkę swoją, błaga wszystkich świętych o tak upragnioną lalkę.... wszystko napróżno. Święci mają zawiele innych trosk i kłopotów, ażeby zajmować się mieli taką maleńką dziewczynką!.... Położenie rozpaczliwe. Do kogoż się uciec?! Nagle nawiedza maleńką natchnienie. Siada — i ukradkiem przed mamą, — nie wiedziała bowiem, czy dobrze robi — pisze najpiękniejszym charakterem swoim, pisze liścik maleńki do... nie zgadniecie?... do księżnej Małgorzaty, żony następcy tronu włoskiego — nic więcej! I czemuż by nie? Powiedziano jej że księżna jest dobrą i lubi bardzo grzeczne małe dziewczątka. A nasze dziewczątko czuje się istotnie grzecznem, — dostało bowiem od nauczycielki swojej dobre świadectwo przed rozpuszczeniem na święta. Cóż tu więc długo się namyślać? List już napisany. Mała petentka chowa go do kieszeni i wybiegłszy na miasto szuka skrzynki pocztowej, — ale tu czeka ją nowy kłopot — otwór zbyt wysoko... maleńka nasza dostać doń nie może... wspina się na palce... wszystkich sił używa — napróżno. Na szczęście przechodzący żołnierz spostrzega to i pomoc jej daje. List już w drodze. Mijają dwa dni. Maleńka nasza nie żyje prawie: myśli tylko o liście swoim i o lalce. — Boże, cóż zrobi księżna Małgorzata! Ale oto zjawia się trzeci dzień—wigilji... i z pierwszą gwiazdą nadchodzi pudełko dla maleńkiej.... Olśnienie!... Lalka piękna jak słońce a strojna jak królewna. Nadano jej imię Małgorzata na cześć dobrej księżnej, która lubi grzeczne dziewczątka!....

— Ciekawe wypadki długowieczności podaje dziennik laplatyński „Prensa“. W Recoleta umarła niejaka panna Juania Ramirez w wieku 107 lat, o kilka zaś tygodni poprzedziła ją na ten sam cmentarz siostra jej dziewica, która przeżyła 115 „wiosen“; trzecia siostra, również nie zamężna, żyje jeszcze, i trzyma się nawet bardzo dobrze pomimo 108 lat skończonych.

— Jeżeli gdzie ogień straszliwe spustoszenia sprawić może to przedewszystkiem w owych olbrzymich zakładach drukarskich, które potrzeba współczesnej prasy wytworzyły. Jeden z takich zakładów zniszczonym został z nieprawdopodobną prawie szybkością przez pożar w nocy z 5 na 6 grudnia. Była to drukarnia Danela w Lille, jedna z najznaczniejszych we Francji. Założona w 1698 przez Lievina Danela pozyskała wielką sławę wyrobami swojemi — które były nieraz prawdziwemi dziełami sztuki. Znajdowały się w niej bogate zbiory świetnych i zbytkownych wydań, dzieł stanowiących ze względu na wykonanie zaszczyt sztuki drukarskiej, albo niezmiernie pożytecznych dla badaczy historji i obyczajów kraju. Wszystkie te skarby — których gdzieindziej znaleźć po większej części nie podobna, — gromadzili powoli właściciele drukarni i przekazywali z pokolenia w pokolenie. Wszystko to uległo zniszczeniu wraz z rozlicznemi pracowniami, zajmującemi przestrzeń około 3000 metr. kwadr. a w których znajdowało zajęcie więcej niż 400 robotników. Przyczyna pożaru niewiadoma, — wybuchnął on około trzeciej z rana. Straty olbrzymie, — materjalna ich część sama wynosi 1,500.000 fr. Mnóstwo ludzi zostało bez chleba. Nie na długo jednak, bo już na zgliszczach wznosić się poczyna budowa nowego zakładu.

— Józef Garibaldi ogłosił w pismach, aby dla niego nic więcej nie czyniono, ponieważ dotychczasowa subskrypcja zabezpieczyła mu kapitał 6805 franków, i rentę roczną wynoszącą 2000 fr. „Kwota powyższa zupełnie mi wystarcza — mówi szlachetny bohater— uważam się za bogatego, a więc nie przyjmę dalszych subskrypcyj, przedewszystkiem zaś składek robotników, którzy więcej jak ja potrzebują“. — Krytyczne położenie Garibaldego było w ostatnich czasach spowodowane postępkiem jakiegoś oszusta, który mu zabrał większą część majątku, i złem położeniem finansowem najstarszego jego syna, Menottego.

— Teraźniejszy król bawarski szczególne wiedzie życie, niepodobne zupełnie do życia innych monarchów europejskich. W Monachjum spędza on każdego roku zaledwie kilka miesięcy, a nieraz sami ministrowie nie wiedzą, gdzie się obraca. Zdarzyło się np. na kilka tygodni przed wybuchem wojny z r. 1866, że cały rząd dłuższy czas nie wiedział, gdzie szukać swego monarchy. On tymczasem, w towarzystwie jednego tylko oficera ordynansowego, zwiedzał szwajcarski kanton Uri, chcąc poznać bliżej miejscowości, sławne podaniem o Wilhelmie Tellu. Król żyje wyłącznie z sobą i dla siebie. Najwięcej czasu przepędza w górach i w zamku Hohenschwangau, który jest za mały na pomieszczenie dworu, więc w nim może żyć spokojnie. Objad jada sam i sam wyjeżdża na spacer. Towarzystwa unika, i tylko od czasu do czasu wzywa jakiego artystę, żeby mu co zaśpiewał lub zagrał. Nad czytaniem spędza kilka godzin dziennie — a gdy z książką w ręku chodzi po ogrodzie lub nad jeziorem, odpowiada ukłonem na każdy ukłon, choćby ten pochodził od prostego wieśniaka, przyczem nieraz kłania się pierwszy. W Monachjum, jadąc powozem, kłania się wszystkim damom bez wyjątku. W pałacu, w Monachjum, zajmuje król tylko 4 pokoje, i to najwyżej położone. Mimo tego wszystkiego lubi on przepych; ekwipaż, który sobie kazał zrobić na wesele swego brata, żeniącego się z arcyksiężniczką Gizelą, miał kosztować miljon guldenów. Do epoki Ludwika XIV i XV ma szczególne zamiłowanie. Wszystkie utwory sceniczne, jakie każe wystawiać w swoim prywatnym teatrze, pochodzą z owych czasów. Przedstawienia, urządzane wyłącznie dla niego, obejmują wszystkie działy sztuki dramatycznej, tj. komedję, dramat, tragedję i operę, z wyjątkiem baletu, o którym nic nie chce słyszeć. Ponieważ nie wszystkie utwory z owej epoki są na język niemiecki przetłumaczone, więc król kazał umyślnie to dla siebie uczynić. Przepych z jakim sztuki bywają przedstawiane, jest ogromny. Niedawno temu padał na scenie prawdziwy deszcz, na prawdziwą łąkę, umyślnie ułożoną, a kilkanaście sfór psów gończych, znakomicie tresowanych dopełniało obrazu. Było polowanie na dzika, urządzone przez Ludwika XIV. Dzik znakomicie naśladowany, a wypchany nie wiórami, jak to się najczęściej robi, lecz kiełbaskami, aby psy tem chętniej za nim goniły, pędził galopem, gdy w tem jeden pies, przedwcześnie dopędza go na środku sceny i dobiera się do smacznych jego wnętrzności. Widząc to inne psy, zapominają o dresurze, i rzucają się namiętnie na swoją zdobycz. Przestraszeni aktorowie, chcąc oderwać natrętów, przyczyniają się do rozjątrzenia psów, które przeraźliwie ujadając, nie myślą porzucić smacznego dzika. Chaos staje się co raz większy. Ludwik XIV. który miał zabić dzika, stoi jak fizyk — kurtyna zapada, a król wychodzi śmiejąc się serdecznie. Wesołego uśmiechu oddawna już na jego twarzy nie widziano!

— „Neuer Wiener Tagblatt“ podaje ciekawe wiadomości o młodzieńczych latach Don Karlosa. Wyjmujemy z tego dziennika kilka anegdotycznych szczegółów. Pretendent do tronu hiszpańskiego, podtrzymujący dzisiaj nieszczęsną walkę, która rozdziera już tak długo jego ojczyznę, przed dziesiątkiem lat najwięcej odbywał studja w Paryżu — studja nie tyle w aulach — ile w sali fechtunku i w knajpie. Nie opuszczał nigdy sławnych balów Mabille i de Closerie. Piękny to był młodzian; tak piękny, że czarodziejki z Quartier latin, zwykłe oceniać wdzięki mężczyzn na wagę mamony — dla niego czyniły wyjątek. Ofiarowywały mu wszystko, choć on im nic ofiarować nie mógł. Jego Królewska Mość spiewała bowiem naówczas bardzo cienko, i zwracała się z prośbą o pomoc na wszystkie strony — wcale nie czyniąc wyboru. Znane są stosunki jego z potomkami rasy, którą Izabella stosem i wygnaniem karała — z żydami. Mściwy ten naród dał się nieraz świetnemu potomkowi swej prześladowczyni we znaki. Gdy ztąd pomoc nie dopisała, młody królewicz zwracał się do przejeżdżających poddanych swoich. Najczęściej jednak uciekał się do środków nadzwyczajnych, a mianowicie zwracał się do zajmujących trony, królewskich kuzynów swoich. Znajomość jego naprzykład z Władzcą Wszech Rosji datuje się z owych czasów. Ambasada rossyjska w Paryżu pełnemu nadziei studentowi nieraz wcale piękne sumki, od cesarskiego kuzyna jego z Petersburga pochodzące, wypłacała. Eugenja zajęła się także tym pięknym młodzieńcem i długo wspierała go. Raz tylko nie udało się Jego Królewskiej Mości, a mianowicie gdy zapukał do kieszeni swojego wuja drogiego, hr. Chamborda, bogatego jak żyd, a skąpego jak Harpagon. Legitymistyczny bożek wręcz mu odmówił. Oburzona tem znakomita figura przy dworze austrjackim, która pośredniczyła w tej sprawie, wspomogła z własnej kieszeni królewicza w kłopotach. Od tej pory Don Karlos zaszczycał częstokroć poselstwo austrjackie odwiedzinami swojemi, jak niegdyś rossyjskie, zawsze przyjmowany z jawną czcią i odznaczeniem należnem jego randze, lecz nieraz z tajemnym grymasem. Szczególniej włoskie dwory opłacać się musiały pretendentowi. Wreszcie jednak ożenił się z księżniczką, córką dostojnego domu, który się dlań zawsze wspaniałomyślnością odznaczał. Od tej chwili — przyznać potrzeba — postępowanie jego było bez zarzutu — królewskie. Nigdzie się nie pokazał — bez dwóch adjutantów, — w loży jego siadywali oni zawsze naprzeciwko — w czasie przejażdżek po lasku bulońskim również. W tej to epoce także poznał się z Napoleonem III. i często bywał u niego — tajemniczy bowiem kuglarz-dyplomata... miał i na niego jakieś „plany“...

— „New-York Herald“ donosi o strasznym wypadku, który się wydarzył w Stanach Zjednoczonych na jeziorze Roland. Olbrzymi most, zbudowany na tem jeziorze, załamał się nagle pod dwoma pospiesznemi pociągami kolei żelaznej. Otchłań wszystko pochłonęła. Na kilkanaście kilometrów dokoła słychać było łomot zapadającego się mostu, a potem woda pokryła gruzy. Liczba ofiar jest ogromna, ponieważ oba pociągi były przepełnione podróżnymi. — Nie mniej straszny wypadek wydarzył się w Anglji, w okolicy Chipton, w samą wigilję Bożego Narodzenia. Pociąg pospieszny wykoleiwszy się nagle, runął w kanał. Przeszło 30 osób zabitych wydobyto pierwszego zaraz dnia. Prawie o tej samej godzinie eksplozja w minach Cronell Hill w Anglji zabiła 20 robotników. Smutno się tam kończył rok stary!

Odpowiedzi Redakcji.

P. Wilkońska w Poznaniu. Za przysłany wiersz dziękujemy. Umieścimy go w następnym numerze. O resztę prosimy.

H. B. w Dreźnie. Ostatni utwor J. Dzierzkowskiego „Chrzest polski“ który był zaledwie rozpoczęty, wyjdzie w zbiorowem wydaniu, dokończony przez Wołodego Skibę (Wł. Sabowskiego.)

M. S. w Rzeszowie. Dziełka Jeskiego dla dzieci powinne zdaniem naszem znajdować się w każdej polskiej rodzinie, która rozumnie chce dzieci wychowywać. Spodziewamy się, że znaleźć je można w każdej większej księgarni. Księgarnia F. H. Richtera ma wszystkie na składzie.

Treść Nr. 1.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.